

JANUSZ ZABŁOCKI

Spotkanie z Leninem

MOJE pierwsze spotkanie z Leninem, którego życie poznałem z książki burżuazyjnego biografisty, nastąpiło w szczególnych warunkach. Miałem lat siedemnaście — ów niepowtarzalny wiek, kiedy człowiek zdolny jest do życia najbardziej bezosobistego, kiedy potrafi najofiarniej służyć temu, co jest „sprawą”. Dla mnie — podobnie jak dla całego pokolenia ówczesnej młodzieży inteligentkiej — taką wielką sprawą była wtedy antyhitlerowska konspiracja. Postawieni przez wydarzenia wobec konieczności decyzji zanim zdążyliśmy w sobie wykształcić samodzielną na ten temat refleksję, potem — w miarę dojrzwania naszych poglądów — zmienialiśmy w sobie motywy, które nas skłoniły do tej decyzji, analizowaliśmy jej treść i wzbogacaliśmy nowymi elementami. Czynniki tego rozwoju były zarówno nowe społeczne doświadczenia, jak i przypadkowa lektura. I jeżeli piszę tyle o tych okolicznościach, towarzyszących mojemu pierwszemu, książkowemu spotkaniu z Leninem, to dlatego, że okoliczności te odegrały bardzo istotną rolę.

Ostatnie lata okupacji wydawały się nam okresem, w którym przebudzona w roku 1939 wielka historia, roztrąciwszy w gniewnym szale karciane domki reżimów, uchodzących za „wieczne”, obaliwszy na kolana i upokorzywszy autorytety, które wydawały się niezłomne, ujawniwszy zmuszając nicość tych ziemskich potęg — równocześnie zatrzymała się nad naszym pokoleniem, kokieterystycznie się do niego uśmiechając. Nie rozumieliśmy wtedy jeszcze logiki dziejących się wydarzeń, ale tym uśmiechem czuliśmy się zaszczytzeni i zobowiązani. Przejęci świadomością wyjątkowego zadania, jakie on nam przeznacza, czuliśmy się o tyle wyżsi od tych naszych starszych braci, którzy niezgodni dojrzedzieli w tych burzliwych czasach, zajęci byli jedynie zbieraniem rozbitych skorup dawnego, ślimaczego życia.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że wielkie zadanie, jakim wyróżniła nas historia, wymagało, by do niego dorosnąć. Ktoś, kto nam w tym czasie nie towarzyszył, nie jest w stanie pojąć tego szalu uczenia się, który ogarnął część mojego pokolenia w latach 1942—44. A wytłumaczenie jego jest proste. Porównując siebie z wytrawnym, zahartowanym w wielu bojach wrogiem zdawaliśmy sobie sprawę z rażącej dysproporcji sił. Trzeba ją było co rychlej wyrównać. Dlatego to nocami kuliliśmy minerkę, terenoznawstwo i wykszolenie bojowe, dlatego wydzieraliśmy sobie podręczniki wojskowe, przestarzałe regulaminy czy numery „Bellony”, chciwie wysysając z nich wszystko, co mogłoby wzbogacić naszą militarną. Dlatego pieściliśmy w rękach troskliwie oliwione, przeżarte rdzą karabiny i domowej produkcji granaty. W czasie, gdy nasi ojcowie i starsi bracia marzyli o powrocie „normalnych czasów”, kiedy to wyczerpie się burzliwy szal „wielkiej historii”, my — jej platonicznie kochankowie — marzyliśmy tylko o chwili, kiedy powoła nas na arenę. I gotowaliśmy się do tej chwili.

W takich to okolicznościach wpadła mi w ręce książka burżuazyjnego powieściopisarza o Leninie.

*

Kiedy zamknąłem tę książkę, pozostało we mnie uczucie głębokiego i niejasnego niepokoju.

O Leninie i jego nauce wiedziałem dotychczas tyle, ile mógł wiedzieć wtedy młody człowiek, czerpiący swą wiedzę o tych sprawach z podręczników gimnazjalnych, przedwojennych gazet i opowiadań otoczenia. Było to stanowczo mało, ale jednak wystarczało, by naszemu podejściu do komunizmu i wszystkiego, co się z nim łączy, wykształcić jakąś ogromną, nieokreśloną lekliwość, jak gdyby same dociekania na ten temat były już grzechem. Lektura książki bynajmniej nie rozproszyła tego uczucia, ale nawet spotęgowała je.

Równocześnie jednak z chaosu wrażeń, nagromadzonych przeczytaną biografiami, coraz mocniej dobywało się na wierzch świadomości nowe, zdumiewające odkrycie: oto dotychczas niepojęta, demoniczna sylwetka twórcy bolszewizmu, z chwilą gdy się ją bliżej poznało od strony jej życia, okazywała się ku memu niemałemu zdumieniu — urzekająco piękna. Jego doktryna przerażała nadal swoją obcością, to prawda, ale przecież sam Lenin ucieleśniał w sobie nie o innego jak właśnie ten sam heroiczny ideał życia, oddanego „wielkiej historii”, który w owym czasie zniewalała nasze uczucia. Nieśmiało legło się we mnie podejrzenie: czy owa niechęć do wielkiego rewolucjonisty, którą usiłowali nam wszczepić nasi ojcowie i starsi bracia, nie wynika po prostu z ich niechęci do życia w kręgu „wielkiej historii”, która budzi w nich taki strach? Wraz z tym nowym odkryciem w moim dotychczasowym nastawieniu do komunizmu dokonany został pierwszy wyłom. Całe wychowanie zmierzało dotąd konsekwentnie do przesłonięcia przed naszymi oczyma problemu krzywdy społecznej i jej wyrównania, do zołudzenia interpretacji tego problemu w kategoriach klasowych, do zabicia w naszym życiu psychicznym ośrodków wrażliwości na głosy klasy wyzyskiwanej. Dlatego — zanim samo życie okupacyjne nie wykształciło tej wrażliwości — nie mógł w nas wywołać przełomu żaden wykład teoretyczny, żadna książka. Dlatego w moim ówczesnym nastawieniu do komunizmu nie mogła w tej fazie dokonać wyłomu treść pracy Lenina, nawet gdyby burżuazyjny autor ustrzegł się przy jej przedstawianiu tendencyjności; natomiast mogła i musiała dokonać wyłomu wymowa samej postaci Lenina, wymowa jego wielkości moralnej, jego pełnego oddania się sprawie rewolucji. Czulem to i stąd płynął wzmagający się we mnie, bolesny niepokój.

Raz jeszcze, ukradkiem i jak gdyby wstydząc się sam przed sobą, przerzucałem karty książki, śledząc uważnie kolejne fazy tego „wielkiego życia”. Postać Lenina — niezależnie od autorskich intencji — ukazywała się z niej w całej wyrazistości. Oto stoi przede mną Włodzimierz Iljicz jako siedemnastoletni gimnazysta, przybity wrażliwością o aresztowaniu i straceniu starszego brata Aleksandra. A oto jeszcze do Petersburga, by tam organizować bojowy Związek Walki. Urzeka i budzi szacunek owa niezmodowana pracowitość, z jaką przez tyle lat studiował doświadczenia rewolucji i powstań ludowych, pochłaniał literaturę o walkach ulicznych i barykadowych, analizował szczegółowo dzieje Komuny Paryskiej.

Przerzucając karty książki podziwiałem niewiędotę Lenina, z jaką — wielokrotnie aresztowany, więziony, zsyłany na Sybir, wtopiony przez policję, zmuszany do ucieczki za granicę, ukrywając się pod przybranym nazwiskiem albo głodując

okończenie na str. 2)

(Dokończenie na str. 2)

DZIS i JUTRO



ZYGMUNT LICHNAK

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (43)

PISARZ SPRAW ZWYCIĘSKICH



JEDEN z najwybitniejszych pisarzy Polski Ludowej, laureat Nagrody Państwowej I stopnia, Leon KRUCZKOWSKI, w roku 1953 zdobył tytuł laureata Nagrody „Za utrwalanie Pokoju”. Wyróżnienie to, którego rangą ideową — polityczną ciągle wzrasta, a autorytet kulturalny ustala się w sposób ostateczny i bezsporny, jest dla autora „Rosenbergów” wyróżnieniem w pełni zasłużonym. Leon Kruczkowski należy bowiem do rzędu tych pisarzy, którzy wielki talent, sprzymierzony z głębokim rozumieniem człowieka i praw rządzących historią, oddali w żarliwą służbę człowiekowi i historii, przeobrażając świat ludzki.

Zaszczytne wyróżnienie, z którego jesteśmy dumni wraz z Leonem Kruczkowskim, jest wyrazem autorytatywnego uznania dla wyjątkowej pracy pisarskiej, dla postawy pisarza walczącego o sprawy słuszne. Nam to wyróżnienie uświadamia wyrazicielem, że pisarze słusznych spraw stają się pisarzami spraw zwycięskich.

Leon Kruczkowski umiał być pisarzem spraw zwycięskich już wtedy i jeszcze wtedy, gdy były to sprawy lekceważone, zjadane atakowane, perfidnie fałszowane. Jego walka dzisiejsza i jego dzisiejsze zwycięstwo wraz z ostatnim laureatowym tryumfem stanowią twórczą konsekwencję, są twórczym rozwinięciem pracy od samego początku podjętej w imię sprawy, która musiała zwyciężyć i musi zwyciężać.

I to trzeba przede wszystkim podkreślić, w tym bowiem męskie piękno działalności pisarskiej Leona Kruczkowskiego: szedł drogą prostą, drogą rzetelnego świadectwa wyraźnie określonej prawdziwej historycznej, prawdziwie zawsze żywej, bo związanej z człowiekiem, z klasą robotniczą, z narodem. Patrząc należy na tę drogę z należytym szacunkiem.

Zaczyna się ta droga już u progu dwudziestolecia. Jako osiemnastoletni chłopiec próbował powierzyć siebie słowu poetykiemu. W krakowskich „Maskach” pojawiają się pierwsze utwory. Jeszcze w dziesięć lat potem, w roku 1928, dochodzący trzydziestki pisarz ryzykuje dechowanie wierności śpiewanej mowie wiersza. Wydaje „Młoty nad światem”.

Nie wiersze jednak objawiły literaturze polskiej prawdziwego Kruczkowskiego. Do literatury wkroczył zwycięsko jako powieściopisarz. W roku 1932 ukazuje się jego „Kordiana i chama”.

Dzisiaj, gdy w ciągu kilku lat tozeszło się po Polsce kilka wydań tej powieści, gdy cała Polska objęta jest wielką przemianą rewolucyjną, gdy socjalizm krzepnie z każdym dniem, gdy każdy dzień potwierdza słuszność teorii społeczno-klasowego rozumienia rzeczywistości historycznej — nie możemy w pełni ocenić wartości i istotnego sensu tej książki. Powiemy: świetna, pełna pasji, doskonale napisana powieść rewizjonistyczna.

Mamy rację. Ale — nie mamy racji. Mówimy za mało. Trzeba — dla pełniejszej oceny — cofnąć się myślą o dwadzieścia lat, przywrócić książce — na chwilę — tło, od którego odbijała.

Moje pokolenie nie zna tych czasów z przeżyć własnych. Chodziliśmy wtedy do drugiej czy trzeciej klasy „powszechniaka”, obok święta jedenastego listopada, które uczono nas przeżywać radośnie, mieliśmy już święto dwunastego maja, które uczono nas przeżywać żalobnie. Lecz ciekawsi z nas sięgają w tamten czas poprzez zapyłone w bibliotekach roczniki czasopism, stopy książek, zbóża broszur, pełnych zbawczych — na jeden sezon — programów. Zbogaceni wiedzą naszego czasu, chciwi precyzji na miarę naszych doświadczeń, pochylamy się nad tamtym czasem pełni zdumienia wobec jego mętności, idealistycznej frazeologii, detej „przetomowości historycznej”. I choć potrafimy ocenić jego ważność, musimy jednocześnie — pokolenie dojrzwające w rewolucji — gorzko określać jego niewiedzę o prawach rządzących historią.

Gdy z tymi myślami odczyta się „Kordiana i chama”, książkę, którą liczy sobie tyle lat, ile młodzi z nas, zastanawia jej nowość, jej bojowość, jej odwaga przeciwstawiania się mętności cukiernego historyzmu. Jest to przecież książka niesłychanie odważna, odkrywcza, książka, w najtrudniejszych chyba warunkach zwycięska. Jest to bodaj pierwszy z taką precyzją i siłą artystyczną zrealizowany w literaturze polskiej powieściowy wyraz klasowego rozumienia rzeczywistości. Historia Deczyńskiego, postać Derkacza czy Czartkowskiego, to przetłumaczone na język artystyczny tezy, których praktyczną doniosłość wyjaśniła naczynie rewolucja w Polsce. Wyobrazić sobie można, jak niepokojąca wydała się ta książka niedowidom tamtego czasu.

Jaka szkoda, że nie ma żadnego wydania powojennego tej powieści, które opatrzone byłoby wstępem wyjaśniającym jej nie tylko dzisiejszą, ale i ówczesną, dzisiaj już historyczną funkcję. Jak zrozumiałe są wywody tak skądinąd cennego dla nas, a tak się w tym wypadku kompromitującego autora „Słonia wśród porcelany”! Jak proste są rozważania niejakiego Karola Radka, który chciałby autora strącić prosto z mostu! Jak podwójnie wymowna była „Obrona Kordiana i chama” przeprowadzona przez Kruczkowskiego! Ważno by te rzeczy przypomnieć. Pełniej wtedy rozumieliby wszyscy, że powiedzenie: świetna powieść — jest bardzo niepełne.

Nie odpoczywał po niej autor długo. W trzy lata później, w r. 1935, gotowe są już „Pawie pióra”. Ukazują one konsekwentny marsz pionierskim szlakiem. Śmiało demaskowanie zdrady ruchu ludowego,

trafna analiza klasowa tego zagadnienia, wreszcie zwarta logika artystyczna dzieła nakazały nawet oponentom, wrogom i wykrzykiwaczom anatem — dystans pełen respektu.

Wydane potem „Sidła”, trzecia przedwojenna powieść Leona Kruczkowskiego, zaatakowały z równą odwagą jak dwie poprzednie problem równie aktualny, ciągle wszakże leżący na tej samej linii walki ideologicznej. Bogdański, tak jak Deczyński, czy Płonka lub Smoter (oczywiście, każdy na swój sposób i w innym wymiarze) jest nie tylko konkretną i żywą postacią powieściową, lecz także — jeśli nie przede wszystkim — artystycznym desygnatem określonego problemu społecznego, desygnatem podporządkowanym z równą precyzją wewnętrznej logice literackiej dzieła, jak i obiektywnej logice prawidłowego rozumienia praw rozwoju społecznego. Na zespoleniu tych pozornie odrębnych porządków w jeden porządek harmonii ideowo-artystycznej polega zwycięstwo Kruczkowskiego jako powieściopisarza.

Nie wystarczało mu jego powieściopisarstwo. Rozwijał ożywioną działalność odczytową. Współpracował z Towarzystwem Uniwersytetów Robotniczych. Staraniem i nakładem Zarządu Głównego TUR-u ukazała się w r. 1936 jego broszura pt. „Człowiek i powszedniość”. (O niektórych zagadnieniach obyczajowości współczesnej). Jest to jedna z pierwszych prób sformułowania praktycznych warunków i wskazań humanizmu socjalistycznego.

Równie zdecydowanie i konsekwentnie występował Kruczkowski jako publicysta. Jego artykuły, drukowane (w latach 1934 — 1938) w „Dzienniku Ludowym”, „Epoce”, „Lewym torze”, „Robotniku”, „Sygnalach” czy „Wiadomościach Literackich” cechowała ta sama — co i w powieściach — bojowość, ta sama ambicja demaskowania wszelkich form sprowadzania myśli społecznej na bezdroża mglistych koncepcji, ta sama pasja przeciwstawiania się ustrojowi wyzysku i niesprawiedliwości.

Najcelniejsze z tych artykułów zebrał autor w tomie pt. „W klimacie dyktatury” (Kraków, „Czytelnik”, str. 110, r. 1938). Chociaż publicystyka ta wyrastała najczęściej w ogień polemik, sens jej nie przeminał z echem spraw, które omawiała, sens jej tkwi bowiem w ciągłym precyzowaniu się od początku konsekwentnie — zawsze z błędów potrafiącej się wydobyc — postawy ideologicznej pisarza.

Wojna tragicznymi przeżyciami pogłębiła jego wiedzę o świecie. Zza kolczastych drutów jenieckiego obozu pisarz potrafił dojrzedzieć swoją przyszłość i przyszłość spraw, którym służył. Po powrocie do rodzinnego domu zniszczonej i odbudowującej się ojczyzny, jeszcze żarliwiej, z jeszcze precyzyjniejszą świadomo-

SPOTKANIE Z LENINEM

(Dokończenie ze str. 1)

— nie przerywa ani na chwilę swojej niezmiernie ciężkiej pracy na rzecz rewolucji. Skomplikowane koleje walk politycznych Lenina wywodziły w mojej głowie raczej mętkę, deprowadziły mnie jednak do nieoczekiwanej stwardnienia, że nasi przeciwnicy są w gruncie rzeczy podobni. Zarówno jemu, jak i nam stała na drodze nie tylko policja, ale i zatrzęsiona wydarzeniami nie na własną miarę, ze strachem osiępla i groźna mieszczańska przeciętność. Ach, czuliśmy niemielszą chęć do pogardy i nienawiści do tego zadobrowolnego do siebie, sytego i płaskiego mieszczańskiego światła „trzęsawic” i „realnych”, który przez tyle lat przerażał nas żelaznymi rygorami, jakie przeznaczał dla naszej przyszłości, a który potem — od jednego poddmuchu wielkiej historii — rozpuścił się ze swymi rygorami jak kopnięta purchawka. Toteż, kiedy doszedłem do października, kiedy widziałem jak Lenin na przekór horoskopom tych „dobrze myślących”, wytopił z ognia przewrotu pierwsze państwo robotników i chłopów, łapałem się na uczuciu złośliwego tryumfu. Jak gdyby wydarzenie to nie było zarazem zwycięstwem „tamtejszej”, obcej ideologii, budzącej taki niepokój.

I nagle zrodziła się we mnie myśl, że przecież pomimo tych pozorów istnieje między życiem Lenina a naszym istota różnica. Lenin, bojując rewolucji społecznej, złaził swe życie ze służbą wielkiej sprawie nieodwołalnie i raz na zawsze. A my cóż? Jesteśmy surrogatem bohaterów. Możemy się nimi czuć przez krótki okres, kiedy czas są „nienormalne”, kiedy trwa wojna i toczy się walka o niepodległość. A potem — urlopowani do zajęć bohaterskich — wrócimy do owych „czasów normalnych”, kiedy ucha i zasyła wielka historia, a życie staje się roślinną vegetacją, przerażającym swoją małością mieszczańskim bytowaniem. Gdy w ciągu swego życia Lenin odniósł zwycięstwo nad swymi „dobrze myślącymi” sztyrdcami, tak nas czeka nieuchybna klęska: niedouczeni sztyrdki dla mieszczańskiej przeciętności nieuchronnie wrócimy na naukę do naszych dawnych wycho-

wawców, którymi w latach wojny nauczyliśmy się gardzić.

Jak uniknąć tej klęski? Jak sprawić, by nasza służba wielkiej sprawie mogła trwać nie przez te kilka wyjątkowych lat, ale przez całe życie? Nie potrafiem na te pytania wtedy odpowiedzieć. Daro też szukałem odpowiedzi na nie w przeczytanej książce. Zniechęcony, rzuciłem ją precz.

*

A przecież zrodzone wtedy zagadnienie nie zgasło. Zepchnięte przez inne troski i problemy w głąb podświadomości, drażyło przecież świadomość jakimś podziemnymi kanałami, niewidocznie a uparcie przegazyło się przez złoza spostrzeżeń i doznań ku rozstrzygnięciu. Wymieszone z lektury o Leninie przykre poczucie, że nasze bohaterstwo jest tylko bohaterstwem okresu odświętnego, krótkotrwałym fajerwerkim posród monotoni niebohaterskiej mieszczańskiej przeciętności — to poczucie, nawracając moją myśl ustawicznie do porównań z życiem Lenina, zmuszało mnie do zmudnego szukania rozwiązań. I w pewnej chwili wydało mi się nawet, że kontury tego rozwiązania zaczynam dostrzegać.

Epoka burzliwych rządów „wielkiej historii” nauczyła nas jednego: nauczyła, że istnieją siły pozorne i siły prawdziwe oraz że są one często z sobą pomieszane, uchodząc jedne za drugie. Tajemnicą powodzenia jest umiejętność wnikiwego rozróżnienia siły od pozorów siły. Człowiek, który o coś walczy, człowiek pragnący wyrwać na bieg wydarzeń historycznych jakiś wpływ, musi spod pokładów tego, co uchodzi za siłę wydybić to, co jest rzeczywistością. Mocna to sobie przedstawić w sposób obrazowy: w skomplikowanej maszyneryi rzeczywistości historycznej istnieją rozmaite dźwignie, kola zębate, przekładnie i pasy transmisyjne; aby uśpiona, pogrążona w bezwładzie maszyna ożyła i w rękach tego, kto nią kieruje, ruszyła całą swoją potęgą, niedosć jest szarpać chaotycznie poszczególne jej elementy; trzeba udźwignąć w tę dźwignię, która uruchomi jej siłę motoryczną.

Przez długi czas wydawało nam się, że taką siłą motoryczną przemian w historii jest brutalna przemoc siły zbrojnej. Zbyt wiele natrzeliliśmy się w ciągu ostatnich lat, jak to ten, kto posiada przewagę militarną, obala rządy, wymazuje z map państwa, drzwi z obowiązków układów, rozcina niby Aleksander Macedoński ciosem miecza gorydzkie węzły problemów zda się nierozwiązalnych. Stało się jednak wydawało się nam, że to co stanowiło o kierunku rozwoju dziejowego, to co jest miarą wielkości narodów i ich przywódców, to co przesądza w sposób decydujący jakie czy inne ukształtowanie oblicza ziemi — to są zwycięstwa na polu bitwy. Sytuacja ówczesnego świata, kiedy to istotnie wszystko wydawało się zależeć od wyniku zmagają wojennych na frontach, utwierdzała nas w tym przekonaniu. Przy takim założeniu nie mogło być lepszego sposobu wpływu na oblicze przyszłego świata, jak tylko najpełniejsze wzięcie się w trwającą zmagania militarną, jak tylko rzucenie wszystkiego czym się jest i co się posiada dla przezwyciężenia szali na rzecz naszego zwycięstwa. Przy takim założeniu nie mogło być innego ideału wychowawczego, jak tylko ten heroiczy ideał człowieka, przetopionego w oręż.

Wątpliwości, jakie się we mnie zrodziły po lekturze książki o Leninie, pomogły w odkryciu w naszej historiofilii istotnej luki. Cóż bowiem będzie, gdy nadejdą owe „normalne czasy”, kiedy to uciszają się rozpetane siły wielkiej historii, kiedy zostaje wyłączone to, co uznaliśmy za siłę motoryczną przemian i cała rzeczywistość zastawia znowu w głąbnej i sennej martwotwie? Czy można przyjąć, że historia przestaje się wtedy toczyć? Czy można przyjąć, że problemy dotyczące człowieka, że ludzkie troski, potrzeby, konflikty, dążenia znajdują rozwiązanie wyłącznie na polach bitew?

Stopniowo oświadciliśmy sobie poczucie osamotnienia w naszym romantyzmie wielkości. Kiedy szło o walkę o okupantem hitlerowskim — kiedy elektryzowaliśmy opinię lokalną zachwałymi wystąpieniami — czuliśmy dla siebie aprobatę najszerszych kół ludności, widzieliśmy czynną sympatię i pomoc, która dawała moralne oparcie i siłę do nowych akcji. Ale zarazem zdawaliśmy sobie sprawę, że gdybyśmy tym samym sympatyzującym z naszą walką masom wyjawili, co sądzimy o pustce czasów pokojowych i wyższości życia obecnego, natknalibyśmy na powszechny, stanowczy opór. Szerokie masy pod koniec okupacji dyszaly pragnieniem położenia kresu wojnie i zabezpieczeniu życia po rozbiciu hitlerizmu. Wiedzieliśmy o tym i czuliśmy do nich w głębi duszy gorzką zazłość. Wzrastające poczucie osamotnienia „usiłowaliśmy” zgłaszać wykształcaniem w sobie pogardliwość wobec „filisterstwa”, o które pomawialiśmy również masy. W istocie jednak odczuwaliśmy dotkliwy brak ich sympatii, tęskniliśmy do ich zrozumienia i uznania przez nie naszych intencji i dążeń. Jak jednak przelać to osamotnienie? Czuliśmy, że jeśli istnieje jakiś zakłęcia, którymi można przemówić do serca mas, to dla nas w każdym razie słowa tych zaklęć są obecne i niedostępne. Nosiłyśmy w sobie ten problem — niedocenieli, rozdzieleni i zgorzkniali. A przecież w owym czasie bar-

dziej organicznie niż by to było w czasach normalnych pozostawialiśmy w kontakcie z masami. Podmuch wojny, który obalił tyle innych tradycyjnych instytucji, rozniósł również przegrodę między pracą fizyczną a umysłową, przynajmniej dla naszego pokolenia. Konieczność okupacyjnego życia zmuszała nas do uczestnictwa w rozmaitych kursach i szkołach zawodowych oraz stawania często do pracy przy warsztatach fabrycznych. W fabrykach nawiązaliśmy bezpośrednią styczność z robotnikami, poznaliśmy, jak żyją i jak myślą. Zbliżyła nas do nich nie tylko wspólna praca w rozmaitych nielegalnych organizacjach antyhitlerowskich, ale również ciężka okupacyjna codzienność: rygorystyczny reżim fabryk, głód, nędzna piaca, fizyczna eksploatacja pracownika. Ta konfrontacja z życiem klasy robotniczej była dla nas pouczająca: z zaangażowaniem uświadamialiśmy sobie, że ten uciszający stan, który znosimy jako coś przejściowego, jako wynik anomalnych warunków czasu okupacji, jest dla robotników czymś normalnym, co stanowiło i będzie stanowiło nierozłączną część ich życia. Nasza szumna walka w żadnym stopniu na położeniu ich nie zawazi i nie w nim nie zmieni.

Człowiek, który w toczonej przez siebie walce składa ofiarę najwyższą, jaką złożył może, chciałby, aby ta jego walka dała również najwyższy rezultat. Chciałby, aby toczona przez niego walka była walką o sprawy największe i najbardziej powszechne, walką rozwiązującą wszystkie ludzkie problemy, wypalając wszelkie zło, jakie istnieje na ziemi, przynosząc ulgę wszystkim ludziom. W ciągu zimy roku 1943, kiedy mury Warszawy czerwieniali plakatami z nazwiskami rozstrzelanych komunistów, a bruki czerwieniali na miejscach straceń krwi, myślałem wiele o naszej walce i utwierdzałem się w gorzkim przeświadczeniu, że jest ona walką niepełną.

Myśl, przywykła już do odbywania tej drogi, uparcie powracała do tamtej książki, od której się zaczął cały niepokój. Uparcie odtwarzała po raz niewiadomo który słowa Engelsa, które były dla Lenina wytyczną działalność i o których wiedziałem, że przyniosłyby ugrąnione rozwiązanie wszystkich dręczących problemów.

„Podobnie jak Darwin odkrył prawo rozwoju świata organicznego, tak Marks odkrył prawo rozwoju dziejów ludzkich — ten prosty, przesłonięty dotychczas nawarstwieniami ideologicznymi fakt, że ludzie muszą przede wszystkim jeść, pić, mieszkac, zanim mają możność zajmowania się polityką, nauką, sztuką, religią itd.”

„Ludzie muszą przede wszystkim jeść.” Stawała mi żywo w pamięci pierwsza okupacyjna zima, kiedy to wycieńczone obłożeniem miasto pochwylił w kościecie szpony głód. W dni, kiedy nie było co włożyć do garnka, kiedy wyczerpały się pieniądze a piwnica została skrzętnie wymyciona z ostatniego ziemiaka, snułem się przybyty wielkim i do głębi przeobrażającym światem ich pojęć odkryciem: odkryciem przemiennej i bezlitosnej władzy, jaką sprawują nad losem ludzkim czynniki, dotrzejagalne dopiero wtedy, gdy ich brak. W tych dniach, kiedy to wszystkie inne problemy spychały do świadomości marzenie o jedynym w swoim rodzaju, nie-

Zgon

J. E. Ks. Infułata Filipa Bednorza

Ordynariusza Diecezji Stalincrodzkiej

Dnia 13 b. m., zmarł J. E. ks. infułata Filip Bednorz, ordynariusz diecezji Stalincrodzkiej.

W ciągu 34 lat kapłaństwa, óp. ks. Filip Bednorz służył wiernie sprawie Kościoła i polskości Śląska. Działalność społeczno-patriotyczną rozwijał już jako wikary w czasie plebiscytu w 1920 r. W okresie międzywojennym pełnił służbę duszpasterską na wielu placówkach parafialnych i katolickich, zyskując sobie powszechny szacunek i głęboką sympatię wśród wiernych. W czasie okupacji hitlerowskiej ks. Bednorz został aresztowany i osadzony w więzieniu w Kaciborzu. Tuż po wyzwoleniu powrócił na swą parafię w Syryni, gdzie zbudował jeden z najpiękniejszych kościołów Śląska.

Głęboko patriotyczna postawa ks. Bednorza wyrażała się raz po raz w jego wystąpieniach wymierzonych w rewizjonizm zachodniemiecki.

25.XI.1952 r. ks. Filip Bednorz został wybrany Wikariuszem Kapitulnym diecezji stalincrodzkiej. Za jego przyczyną został zorganizowany komitet budowy katedry w Stalincrodczie, a działalność wydawnicza katedry św. Jaka uległa znacznemu ożywieniu.

Zmarły był aktywnym działaczem Komisji Księży przy ZBoWiD. W uznaniu zasług położonych w walce o polskości Śląska ks. Filip Bednorz otrzymał wysokie odznaczenie państwowe.

możliwym do opisanie smaku chleba, po raz pierwszy zastanowiłem się nad istnieniem głodu, który znalazłem dotąd tylko z literatury, a który był przecież ponurą realnością ogromnej części ludzkości. I miałem jak gdyby za złe światu, że nie nauczył mnie o jego przemiennej i strasznej mocy, że nie wyniósł go w swojej skali ocen na piedestał prawdziwych władców ludzkości. Słowa Engelsa padały na dobrze urobiony grunt. O ich głębokiej prawdziwości przekonywało samo doświadczenie. Wiedziałem, że przyjęcie tego nowego spojrzenia na dzieje jest w stanie rozwiązać wszystkie dręczące mnie problemy: że ono przywraca wspólny język z masami, uczy rozumieć ich życie i cenić ich dążenia; że ono tylko może uczynić naszą walkę pełną, wymierzoną przeciw temu, co jest źródłem wszelkiego społecznego zła; że ono wreszcie sprawia, iż „wielka historia” przestaje być dla nas jakimś odświętnym gościem, zstępującym na ziemię w okresach „wyjątkowych”, ale staje się stałym towarzyszem życia człowieka, który pragnie z nią współdziałać.

„Ale rozumiejąc głęboką prawdziwość słów Engelsa, zarazem rozpaczkliwie bronielem się przed ich przyjęciem. Jakoby to bowiem już coś więcej jak tylko podziw dla osoby Lenina — byłoby to zaczerpnięciem czegoś z jego nauki. Moje poglądy religijne, patriotyczne, moralne a nawet społeczne znajdowały się wówczas w takim stadium przemyślenia, kiedy wydawało się, że wprowadzenie tego nowego spojrzenia na dzieje rozszalał cały światopogląd. I odtąd przez długie lata trwała we mnie ta wewnętrzna walka, pełna zrygawków i załamania. Zaczepiony niedługo tamtą książką ferment, zasiany ustawicznie nowymi obserwacjami i doświadczeniami, zalewał gorącą falą, przecięw której bronielem się rozpaczliwie i coraz słabiej. Podmyte przez nią padały jeden po drugim bastiony mojego oporu. Sprzeczności, które wydawały się zasadnicze i wykluczające się wzajem, okazywały się pozornymi. Przekonałem się, że wprowadzenie tego płodnego spojrzenia na historię, które pozwoliło Leninowi rozszyfrować ją wnikli-

wiej niż tego dokonał krokolwiek przed nim, nie tylko nie burzy tego, co w moim dotychczasowym światopoglądzie było najmenniejsze, ale przeciwnie — wartości te harluje i wyostrza. Ze nie rozkłada ono bynajmniej uczuć patriotycznych, ale pozbawiając je elementu „szowinizmu i egoizmu narodowego czyni patriotyzm czystszy i szlachetniejszym; że nie tłumi ono wcale pasji moralnej w człowieku, ale przeciwnie — sprawniejszymi obłudy i samoupośledzenia wyostrza ją, rozszerza do spraw wszystkich ludzi i czyni siłą, kierującą życiem człowieka; że nie podcina korzenia życia religijnemu, ale pozwalając odrzucić to, co jest religią od tego, co było naletem poprzecznic epok, podzrywającym się pod pozory religii — sprowadza życie religijne do kształtu najbardziej autentycznego, do nadprzyrodzoneści.

Dojrzały o lata mozołnych doświadczeń i przemysłów, powracam dziś często myślą do tamtego pierwszego spotkania, które miało dla mnie tak poważne znaczenie. Myślę o nim zwłaszcza wtedy, kiedy staję przed moimi oczyma twarz Lenina, malowana słowami Majakowskiego:

„Usta otwarte w mocnych słowach toku, Warga szczecinkę wąsów napręży, W potężnej czaszce ściska głęboko W zmaszczkach na czoło ludzka myśl potężna”

Gdy postępowa ludzkość czei w Leninie jednego z najwybitniejszych ludzi w historii, wielkiego teoretyka rewolucji i twórcę pierwszego w dziejach socjalistycznego państwa, dla mnie ponadto jest on przewodnikiem, który samą wymową swego życia zdolny jest wstrząsnąć i przekonać. To właśnie surowemu pięknu życia Lenina, które nakazywało zastanowić się nad kierującą nim treścią, zawdzięczam dzisiaj to, że będąc katolikiem uczestniczę w walce o zwycięstwo rewolucji socjalistycznej.

Notatnik polityczny

Przed konferencją berlińską

25 stycznia br. rozpoczęła się w Berlinie dawno oczekiwana konferencja ministrów spraw zagranicznych czterech mocarstw: Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji, która rozpatrzy szereg ważnych problemów polityki międzynarodowej. Jest to duży sukces dyplomacji radzieckiej i Światowego Ruchu Obronców Pokoju. W ciągu całego 1953 r. rząd ZSRR domagał się konsekwentnie i stanowczo wspólnego przedyskutowania podstawowych spraw spornych, które groziły mogą wywołaniem konfliktu światowego, aby doprowadzić do ich pokojowego uregulowania, a przez to do osłabienia napięcia międzynarodowego.

Część prasy zachodniej usiłuje przetłosać karty twierdząc, że zwolanie konferencji berlińskiej stało się możliwe dzięki zmianie stanowiska ze strony Związku Radzieckiego. Jest to tendencyjne złośliwość słowami, mające na celu zatajenie przed opinią publiczną powodzenia wysiłków strony radzieckiej.

Wystarczy przypomnieć sobie podstawowe fakty. Związek Radziecki stał stale na stanowisku, że taka konferencja dać może pozytywne rezultaty tylko wówczas, o ile rozpatrzone zostanie całość problemu bezpieczeństwa międzynarodowego. Tymczasem dyplomacja amerykańska, nie mogąc ze względu na własną opinię publiczną a limitować inicjatywę radzieckiej, starała się możliwie ograniczyć zakres przyszłej konferencji, sprowadzając ją tylko do szukania rozwiązania sprawy tzw. wolnych wyborów w Niemczech, mających doprowadzić do zjednoczenia tego kraju. Związek Radziecki, będąc pierwszym w stwierdzeniu konieczności stworzenia zjednoczonych, pokojowych i demokratycznych Niemiec, podnosił jednak zawsze, że uregulowanie tej sprawy możliwe jest tylko w ramach ogólnego rozwiązania problemów bezpieczeństwa międzynarodowego. Dopiero wyrażenie przez mocarstwa zachodnie zgody na przedyskutowanie całości spornych zagadnień światowych doprowadziło do możliwości zebrania się „konferencji czterech”.

Tak więc w Berlinie, poza sprawą pokojowego zjednoczenia Niemiec i pośrednio z tym związanego zagadnienia traktatu pokojowego z Austrią, będąc musiał być rozpatrzone także problemy zasadnicze, jak sprawy zbrojenia, baz strategicznych, zakazu broni atomowej, normalizacji międzynarodowej wymiany handlowej oraz pokoju i bezpieczeństwa w Azji. Wszystkie one są ściśle ze sobą związane i bez ich załatwienia niemożliwe jest pełne osiągnięcie odprężenia międzynarodowego i trwałe zapewnienie pokoju światowego.

Przeważnie takimto rozwiązaniu agresywne koła międzynarodowe starają się a priori wywołać wrażenie, że rzekomo niemożliwe jest osiągnięcie porozumienia w tych sprawach, a wobec tego konferencja berlińska skazana jest z góry na niepowodzenie. Ten tendencyjny pesymizm, będący refleksem własnych życzeń, nie jest rzecz prosta uzasadniony. Naturalnie, trudności na drodze definitywnego załatwienia tych skomplikowanych zagadnień będą duże, toteż błędem byłoby przypuszczać, że oczekiwana konferencja berlińska przyniesie może, jak pod dotknięciem różdżki czarodziejkiej, euforyjny błogostan. Natomiast skończyć się ona może pierwszym poważnym, a nawet przełomowym krokiem w kierunku podjęcia dalszych wysiłków zabezpieczenia pokoju.

Tak np. zapewnienie bezpieczeństwa i pokoju w Azji niemożliwe jest bez współpracy takiej światowej potęgi jak Chińska Republika Ludowa. Konferencja berlińska powinna doprowadzić, zgodnie z wnioskami radzieckim, do kolejnego zebrania nowej konferencji, tym razem pięciu mocarstw z udziałem Chin, dla definitywnego uregulowania tych problemów. Tak samo przyjęcie propozycji Związku Radzieckiego w sprawie wspólnej deklaracji o wyrzeczeniu się używania broni atomowej i wodorowej byłoby dopiero wstępnym krokiem ułatwiającym całkowite załatwienie sprawy zakazu wytwarzania tego niebezpiecznego i ludobójczego środka walki. Wreszcie konferencja berlińska dać może uzgodnienie zasad zjednoczenia Niemiec i stworzenia z nich prawdziwego pokojowego i demokratycznego państwa nie zagrażającego bezpieczeństwu sąsiadów, czego ukoronowaniem w przyszłości będzie zawarcie definitywnego traktatu pokoju.

Wszystko to jest możliwe do osiągnięcia w wypadku zaistnienia dobrej woli u wszystkich uczestników konferencji berlińskiej. Związek Radziecki udowodnił całą swą dotychczasową polityką, że ma taką dobrą wolę i dokłada wszelkich wysiłków dla uzyskania odprężenia w sytuacji międzynarodowej. Równocześnie na Zachodzie, a zwłaszcza we Francji i Wielkiej Brytanii, coraz liczniejsze są ostatnio głosy, i to nie tylko wśród mas pracujących, ale i w kręgach burżuazyjnych, domagających się pokojowego uregulowania spornych problemów światowych. Najbliższe tygodnie wykaza, czy rządy mocarstw zachodnich potrafią zdecydować się na chęć konstruktywnego załatwienia tych problemów, jak o tym starają się zapewnić swe społeczeństwa. Narody całej kuli ziemskiej, pragnące pokoju i wolności, z niecierpliwością oczekują, aby konferencja berlińska stała się punktem wyjścia dla definitywnego usunięcia niebezpieczeństwa nowej wojny i utrwalaenia współpracy międzynarodowej.

(Dokończenie ze str. 1)

ścią celu podjął radosny ciężar swojej służby.

Dramatyczne napięcia konfliktów, pełna sprzeczności wymowa nowej epoki, gorąca aktualność spraw, które domagały się od niego artystycznego słowa, zmusiły go do (chwilowego chyba) zrezygnowania z opanowanej mowy epika, skłoniły do zaryzykowania nowej dla niego formy wypowiedzi, nowego kształtu artystycznego.

Po wojnie Leon Kruczkowski jako artysta jest przede wszystkim dramaturgiem. Trzy jego przedwojenne powieści — „Kordian i cham”, „Fawie pióra”, „Sidla” — rozchodzą się w wielotysięcznych nakładach następujących kolejno wznowień, ale oto już obok ich działania potęguje się wpływ trzech nowych dramatów: „Odwety”, „Niemców” i „esęściowo przez prasę literacką opublikowanych „Rosenbergów”. Każdy z tych dramatów ma swoją odrębną funkcję i odrębną problematykę, ale wszystkie łączy wspólna linia konsekwentnej drogi ideologicznej autora i linia wielkiego — chciałoby się powiedzieć — moralitetu ideowo-politycznego.

„Odwety” były pierwszą chyba po wojnie sztuką współczesną, powstały ostro i wyraźnie wielki problem moralny i ideowo - polityczny, problem „zarazenia nienawistnicą”, problem groźby podziemia jako klimatu rozkładającego moralnie, ogłupiającego politycznie przede wszystkim pokolenie dojrzewające w mroku nocy okupacyjnej. „Odwety” były niejako scenicznym odpowiedni-

PISARZ SPRAW ZWYCĘSKICH

kiem „Popiołu i diamentu”. Jak i powieści Andrzejewskiego miały swoje wady, wynikać może z braku perspektywy, z nadmiaru patetycznych nakazów chwili. Ale w życiu kulturalnym nowo powstałej Polski stanowiły akcent ważki, twórczy, zwycięski.

O wiele szerszą, już nie tylko polską, nie tylko niemiecką, ale ogólnoludzką problematykę podjął i rozwiązał Leon Kruczkowski z pełnym poczuciem odpowiedzialności ideowej - artystycznej w „Niemcach”. Zwycięstwo tej sztuki jest faktem od dawna chyba nie notowanym w dramaturgii. Przeszła ona przez sceny prawie wszystkie miast polskich, ukazała się we wszystkich prawie stolicach Europy, w triumfalnym pochodzie powędrowała na inne kontynenty. Sława jej sięga od Pekinu po Londyn. Jej wersję filmową oglądają dziesiątki i setki milionów ludzi różnych krajów. Wieloletnie tłumaczenia docierają do niezliczonych rzesz czytelników. Przeróbki radiowe zacierają głasy słuchaczy. Wystarczy przejrzeć prasę niemiecką w okresie wystawiania tam sztuki polskiego pisarza, aby stwierdzić, jak wielką odegrała ona u naszych sąsiadów rolę, rolę nie tylko kulturalną, ale polityczną, rolę artystycznie ujętego instruktażu ideologicznego. Nie potrzeba przypominać rozgłosu i twórczej funkcji tej sztuki u nas. Trzeba natomiast jasno zdać sobie sprawę z tego, że wspaniałe zwycięstwo dramatu Kruczkowskiego tłumaczy się nie tylko pełnym napięciem skonstruowaniem akcji, nie tylko przekonny-

wającym rysunkiem postaci, nie tylko celnym słowem dialogów, ale także — aby nie powiedzieć: przede wszystkim — tłumaczy się tym, że Kruczkowski zajął się problemem najbardziej dla nowego świata palącym, problemem narodu niemieckiego, który w sztuce stanowi istotny rdzeń tematyczny, a rozwiązany jest w duchu internacjonalizmu obozu wolności i pokoju. Siła dramatu Kruczkowskiego polega nie tylko na postawieniu jednego z najistotniejszych problemów, ale także — aby nie powiedzieć: przede wszystkim — na jego poprawnym, zwycięskim (zarówno w sensie ideowym, jak i artystycznym) rozwiązaniu. W tym właśnie leży tajemnica coraz pełniejszego rozwoju pisarza spraw zwycięskich.

Po „Niemcach” przystąpił do pracy nad „Rosenbergami”. Nie możemy o tej sztuce mówić, nie znamy jej całości, nie widzieliśmy jej na scenie. Publikowany w „Nowej Kulturze” fragment budzi najgłębsze zainteresowanie. Pomysł technicznie wydaje się bardzo ryzykowny, ale jednocześnie problem, klimat utworu wciąga nawet przy pierwszej i to fragmentarycznej lekturze. I znów jesteśmy w orbicie wielkiej problematyki moralnej, problematyki ideowo - politycznej. Znowu obucujemy ze sprawą, która stała się najistotniejszą ze spraw świata współczesnego: ze sprawą walki o sprawiedliwość i pokój, o szczęście ludzi przycięw, chcących pokoju i sprawiedliwości. Kruczkowski znowu oskarża i demaskuje, znowu mobilizuje do walki.

Na tym polega siła jego dramatów, na tym wartość ich pięknego moralnego patosu, wartość zwycięskiej ideowo - artystycznej prawdy.

W imię tej prawdy przemawiał Kruczkowski po wojnie nie tylko ze sceny. Starczyło go i na pracę publicystyczną, na przemawianie z trybuny. Włączał się w najważniejsze polemiki, inicjował istotne wyprawy publicystyczne, oddawał swoje pióro na użytek konkretnych, aktualnych, doraźnych zagadnień.

Najważniejsze z jego publicystycznych wystąpień przypomina tom „Spotkania i konfrontacje” (Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 192, r. 1950). Wyraźnym dowodem rzetelnego traktowania i służby publicznej jest broszura wyrosła z rozważań nad Konstytucją Polski Ludowej („Prawo do kultury”, str. 39, „Czytelnik”, r. 1952). Spory tom powstałby z wypowiedzi rozrzuconych po różnego typu antologiach (jak np. „Stafeta pokój”), zbiorach, czasopiśmie itp.

„Ale Kruczkowski nie poprzestał i na tym. Jest pisarzem czynnie uczestniczącym w pracy politycznej. Jako członek Światowej Rady Pokoju, jako członek prezydium Frontu Narodowego, prezes Związku Literatów Polskich, poseł na sejm — potwierdza swą pracę siebie jako pisarza, dramaturga i publicystę, dąży do twórczej pełni zaangażowania w dzieło przebudowy świata.

I to jeszcze raz podkreśla jego piękną rolę pisarza spraw zwycięskich.

Zygmunt Lichniak

GENEZA „REALIZMU” POLITYCZNEGO W POLSCE*)

„Nasz naród jak lawa,
Z wierzchu zimna i sucha,
szorstka i plugawa
Lecz wewnętrznie ognia sto
lat nie wzięty;
Plwajmy na tę skorupę,
i zstąpmy do głębi.”
(Adam Mickiewicz)

I.

W tajnym memoriale dla cara prokuratora senatu Królestwa Kongresowego, Enoch, któremu wiele zawdzięczał w swej błyskawicznej karierze blisko wtedy sześćdziesięcioletni Aleksander Wielopolski, tak oceniał ze swej pozycji konserwatywnego legitymisty sytuację w burzliwym 1861 r. w Królestwie:

„Nie trzeba się ludzi, aby mogące być wprowadzone najszerze reformy, kiedykolwiek zadowolili masę, gdyż chcą one bezwzględnej niepodległości. Z tej strony nie ma nic do zrobienia. Pozostaje partia liczebnie szczupła, ale wpływowa przez społeczne swe stanowisko, przez majątek, przez wyższe wykształcenie: właściciele ziemscy, urzędnicy, i ogólnie bogatsze klasy ludności. Nie ma nadziei ich całkowitego zaspokojenia, ani ich przywiązania, ponieważ w gruncie rzeczy stoją one za masami. Z drugiej strony czują one, co stracą w gwałtownym przewrocie, pojmują, że zostaną przescignione, że są już teraz przescignione. Rzucą się w wir rewolucji tylko po straceniu nadziei polepszenia. Mądrymi reformami można by zapobiec sprzymierzeniu się tych klas z ruchem, prowadzonym przez zapaleńców. Dla dopięcia tego wystarczy reformy, nawet niebardzo rozległe...”

Trudno o bardziej przejrzyste wyznaczenie biurokraty reprezentującego carski imperializm w przededniu powstania. Wyznanie trafnie dowodzi, że postać i koncepcja Wielopolskiego wypłynęły w warunkach fermentu rewolucyjnego, powstając na wulkanie walki o wyzwolenie narodowe i uwłaszczenie wsi. Gwałtownemu feudalizmowi carskiemu, przeciwko młodej burżuazji polskiej na progu ery kapitalizmu, potrzebnymi byli Wielopolski i wielopolszczyzna, jako myśli wyrażająca broń i odsuwająca starcie z dżeniami wyzwolicielami. Wygodniejszy był na to miejsce magnat Wielopolski, niż trymający w odwodzie carskim Milutin.

Konserwatywny mąż stanu, postać anachroniczna, przechowana niby mucha w bursztynie od czasów świętej pamięci Kongresu Wiedeńskiego, widział przyszłość Polski w przywróceniu status quo z 1815 roku. Feudal — margrabia Gonzaga Myszkowski hrabia Wielopolski — stojący ponad reszta szlachcka, ceniący politycznie do poziomu czasów saskich, stojący wyżej od plejadi magnatów z Towarzystwa Rolniczego Andrzeja Zamojskiego stojących się w barwnie pióra patriotycznych mrzonek o Polsce z 1772 r., o Litwie i Rusi (Ukrainie) — mógł uratować cara. Mógł uratować imperium carskie od nieprzewidywanych następstw dalszego wrzenia politycznego, chętnie podsycał przez podporządkowaną monarchię austriacką i idące do rozkwitu Prusy — Bismarcka. Świadomie dał się wprząc Wielopolski do rydwanu liberalizujących niewątpliwie reform, mniej lub więcej umiejętnie cenzurowanych przez dwór carski.

Margrabia zaś, który czekał wiele lat z wypracowaną koncepcją polityczną, ideą fixe swej Polski, potrafił za te lata oczekiwać walczyć o nią z fanatyczną zaciekłością.

Ten nieprzejętej inteligencji magnat polski z XIX wieku, w wykładzie swej teorii politycznej, pisał w 1835 r. jeszcze, że mądry człowiek powinien posiadać cierpliwość, aż nastąpi „oczekiwane przesilenie w nieustannym obrocie dziejów — jedyne, które go może zaprowadzić na szczyt chwały i zrobić człowiekiem historycznym”.

III.

WIELOPOLSKI pożegnał się w latach refleksji polistopadowej z ideami czartorysczymi, liczenia na dyplomatyczną interwencję zachodu. Szukał dróg porozumienia po kolei ze wszystkimi rządami zaborczymi. Nawet dla zaboru pruskiego, miał swój program pracy organicznej i ugody, które zalecał panom wielkopolskim. Metternich wydał 7 marca 1846 r. notę spotwarzającą rewolucję, broniącą wólcian i podważającą całą burżuazję. Tę farsę pojęli „Manifest Komunistyczny”, stając po stronie powstania. Wtedy Wielopolski wystąpił ze swym credo politycznym w broszurze wydanej 10 kwietnia w jez. francuskim i niemieckim (dla wybranego grona) pt. „List szlachca polskiego do księcia Metternicha...” („Lettre d'un gentilhomme polonais sur les massacres de Galicie, adressée au prince de Metternich, a l'occasion de sa depeche circulaire du 7 mars 1846”).

W „Liście”, w oparciu o Staszewski panslawizm i zagrożenie germańskiej ekspansji, margrabia domaga się jak najszybszego pojednania się z Rosją, przyjmując za podstawę porządek prawny ustalony na Kongresie we Wiedniu w 1815 r. Ten akt ugody z legitymistyczną potęgą słowiańską ma pieczętować przyznaniem się do klęski państwowości przedrozbiorowej: „Szlachta polska niewątpliwie będzie wolała iść z Rosjanami na czele cywilizacji słowiańskiej, młodej, silnej, pełnej przyszłości, niż wlec się w ogień naszej cywilizacji”.

„List” zawiera groźbę pod adresem Austrii, że szlachta nie otrzymała satysfakcji za Szczę, przetraci się na orientację rosyjską! W specyficznym tonie uderza Wielopolski

polscy w stronę panslawizmu, gdy umieszcza w liście taki, za siebie mówiący, tok opokarzających zdań adresowanych do cara:

„Przychodzimy Ci się oddać, jako najwspaniałomyślniejszemu z wrogów naszych. Dotąd należeliśmy do Ciebie jako niewolnicy, podbili prawem zwycięstwa i przemocy, mając sobie za nie przysięgi na nas wymuszone; dziś zdobywasz nowe prawo nad nami. Łącząc odłąd nasze losy z losami Twojego Państwa, oddajemy Ci się jako ludzie wolni, bez chępliwości i rachuby, z serca i przekonania. Stajesz się dziś władcą naszym z łaski Boga, którego wyro-

1848 r., czyli bezpośrednio po Wiośnie Ludów. Zamiast programu „Czas” wytrwale lata całe drukował artykuły antyrewolucyjne, antyliberalne i antydemokratyczne, wypracowując wszelkie możliwe kombinacje ugody. Długi żywot tego pisma krakowskiego zgrupował wokół niego wielkie rody magnackie i szlachty ziemiańskiej, działające w duchu — dziś powiedzielibyśmy — prawa własności ziemskiej, wtedy — najpełniejszego legitymizmu, wyrażanego w wiernopoddanych adresach do tronu austriackiego. Formy stosowane, formy — zdawało się — poniżające autorów, lapidarnie oddaje najdokładniej późniejszy sło-

coraz większe klęski, ujmowemu coraz bardziej środków do tego celu, wiano ręce, pęta noży, wszelką broń z ręki wytrąca, a wolano nieustannie: niepodległość, walka o niepodległość...” Wielopolski trafnie odgadywał słabość polityczną Austrii i szukał dróg dla konserwatywnej, samodzielnej polityki trójzaborowej. Potęga caratu słabła przed oczyma i ta droga zdawała się być Wielopolskiemu bliższa, niż ta którą obrał krótkowidz, hr. Agenor Gołuchowski, namiestnik austriacki w Galicji, ugodowiec z krwi i kości. Równanie obu, z korzyścią zresztą może dla Wielopolskiego, narzuca się samo przez się: byli wrogami idei rewolucyjnej, propagując lojalizm — każdy dla innego tronu, oportunistami magnaci. Wielopolskiego konserwatywny stał się jednak ponad trójzaborowy. Gołuchowski w Galicji pozostawił po sobie pamięć zacietuszowanego urzędnika-legitymisty.

Gdy krakowski „Czas” prowadził filoaustriacką politykę ugody, stojąc czujnie na straży czystości myśli konserwatywnej, w Królestwie Polskim ostry problem pańszczyzny nadal nierozwiązanej stał się decydującym czynnikiem potęgującym ruch narodowy. Powstanie styczniowe miało ostatecznie podważyć feudalną instytucję pańszczyzny i zapoczątkować okres kapitalizmu. Około 1860 roku Królestwo Polskie posiadało w liczbach przybliżonych blisko 4.800.000 ludności w tym 1.200.000 w miastach (w tym ca 100.000 robotników), a 3.600.000 ludności na wsi.

Rosja, osłabiona klęskami wojny krymskiej i częstymi buntami chłopskimi, zmierzająca, po wstąpieniu w 1855 r. na tron liberalizującego Aleksandra II, do przebudowy ustroju rolnego. Zamieniona formalnie w 1861 r. pańszczyzna na czynszowanie, łagodził konflikt społeczny. W Królestwie Polskim, którego ukazy nie obejmowały, kwestia chłopstwa w tych warunkach stawała się tym bardziej nie do zniesienia. Jednocześnie ucisk narodowy przeciwstawiał caratowi warstwy posiadające: szlachtę i drobniemszczyznę. Narastała rewolucja demokratyczna nowej generacji o zbrojne wywalczenie niepodległości i zrzućcie kajdan feudalizmu na wsi.

Kierunek rewolucyjny nadają działacze, których historia zakwalifikowała do grupowania postępowego — Czerwony. Obóz ten, powstały na tradycjach Towarzystwa Patriotycznego i emigracji lelewalskiej, na tradycjach Jakuba Jasińskiego, Waleriana Łukasińskiego i Maurycego Mochnackiego będzie autorem manifestu i dekretów uwłaszczeniowych z 22 stycznia 1863 roku. Dopiero on zmusi drogą faktów konserwatywno — ziemiańskie ugrupowanie Białych do wystąpienia w kwietniu do powstania styczniowego, do uznania manifestu i dekretu.

Partia Białych wywodziła się bezpośrednio z utworzonego w 1857 roku Towarzystwa Rolniczego, będącego magnackim „sejmem de facto” pod batutą Andrzeja hr. Zamojskiego, ordynata na Zamościu, a z ramienia brata gen. Władysława Zamojskiego, siostrzeńca i prawej ręki zgrzybiałego księcia Adama Czartoryskiego, w prąskim ośrodku monarchistów polskich — w Hotelu Lambert. Pokrewieństwo programowe tej emigracji z białymi było oczywiste i wyrażało się w zdecydowanej niechęci do każdej rewolucji, związanej z — jak powiadano — „niebezpiecznymi społeczno — gospodarczymi reformami”. Postawę tę określano jako patriotyczną niechęć do zgody z Rosją pod hasłem: „ni-

pokój, ni wojna”. W Galicji — ekspozyturą Hotelu Lambert, a zdecydowanie w okresie powstania ekspozyturą Białych, były elementy konserwatywne zgrupowane wokół krakowskiego „Czasu”, którego hasłem naczelnym było jak pisał 16 lutego 1863 r. Stanisław Koźmian: „...przede wszystkim odją powstaniu wszelkie znamiona rewolucyjne...”. Korespondenci krajowi Biura Paryskiego Hotelu Lambert — Stanisław Tarnowski, Ludwik Wodziecki i Stanisław Koźmian — staną się niebawem duchowymi autorami zorganizowania nieudanej dyktatury Langiewicza, może po to, aby przerwać powstanie...

Wielopolski tak samo jak Towarzystwo Rolnicze i Andrzej Zamojski, uważał całą ziemię za niepodzielną własność dziedzica. Stosunek margrabiego do naczelnego problemu epoki — spraw włościańskiej był tu całkowicie zbieżny z programem Białych: jak najdalej od uwłaszczenia, w najlepszym razie czynszowanie. Ten konserwatywny Białych nie wystarczał jednak Wielopolskiemu, który dążył do utworzenia w Królestwie odpowiedzialną partii konserwatywno — ugodowej, jak w Galicji. Obserwując narastanie nastrojów rewolucyjnych, manifestacje religijne, pogrzeby narodowe i obchody rocznic kończące się salwami setni kozackich do wzburzonego tłumy — Wielopolski czekał. Jedną z salw do tłumy, którym gardził, była szczytem dla jego politycznego programu. Wielopolski wystąpił z projektem jeszcze jednego „adresu do tronu”, tym razem — Aleksandra II. Dla ks. Gorczakowa ten „konstruktywny i konkretny” projekt, oparty na autonomii administracyjnej, panslawizm i konstytucji 1815 r., był — mimo wszystko — zbawieniem. Wielopolski, i to było decydujące, nie dotykał trzech rzeczy: wykluczających wtedy wszelką dyskusję: konstytucji, armii i kresów, w polityce zaś wewnętrznej przeciwstawiał się uwłaszczeniu chłopów.

Po okrojeniu, 26 marca 1861 roku Rada Ministrów w Petersburgu zatwierdziła program reform odgórnych margrabiego, jako „zapoczątkowanie ugody polsko — rosyjskiej”. Dzięki zabiegom wpływowego prokuratora senatu, Enocha, Wielopolski otrzymuje nominację dyrektora wyznań religijnych i oświecenia, na miejsce wszechwładnego Muchanowa. W istocie góra urodziła mysz: car stanął na stanowisku polistopadowego Statutu Organicznego Królestwa Polskiego z 1832 r., z lat reakcji paskiewiczowskiej, a odrzuć koncepcję powrotu do Kongresu Wiedeńskiego. Ale i to oszustwo Aleksandra nie zachwiała wary ambitnego magnata, który poprzednie lata oczekiwał „nażucenia programu przemocą postanowienia za wszelką cenę dyskontować. O popularność nie dbał, opinię publiczną gardził. Linia polityczna Wielopolskiego oparta o dwie podstawowe przesłanki: 1) że całe użycie go do skierowania ruchu rewolucyjnego w legalne koryto, zapewniając swobodę działania; 2) że podtrzymują go zachowawcze żywoty społeczeństwa — była w obu wypadkach skazana na klęskę, od pierwszego jeszcze wystąpienia podczas powstania galicyjskiego w 1846 roku.

Istotną treść „realizmu politycznego” programu Wielopolskiego, podpadającego w coraz jaśniejszy konflikt społeczny, programu, który miał stanowić podbudowę ideologiczną spadkoborców: wielopolszczyzny i stanczyków krakowskich — wychowanków ideologicznych Hotelu Lambert, a później Narodowej Demokracji, wymaga szerszego omówienia.



Artur Grottger — Kucie kos

szukał on pomocy mocarstw zachodnich, jako podwładny Adama Czartoryskiego, Prezesa Rządu Narodowego. Inni apelowali do ludów, on, absolutysta z głębi swej natury, już wtedy rozmyślał, jak uzyskać niepodległość, „aby zarazem uniknąć jak dotąd wstrząśnień socjalnych”. Może dlatego właśnie został wybrany przez szlachtę grodzką (której nigdy nie widział) posłem do nie-szczęsnego Sejmu Powstania Listopadowego. W tej roli i jako redaktor konserwatywnego „Zjednoczenia”, pisma o założeniach zbliżonych do przyszłego „Czasu” krakowskiego, Wielopolski ostro przeciwstawiał się uwłaszczeniu włościan „jako naruszeniu prawa własności i wykultu teorii jakobińskich”. Ostro gromił „anarchię” jakobińską, przez co rozumiał klubistów z klubu patriotycznego z Lelewalem na czele. Najpierw bronił kunktorata Skrzyneckiego, aby niebawem — po warszawskiej fali rozruchów nocy 15 sierpnia 1831 roku — planować dyktaturę swego wuja, gen. Henryka Dębńskiego. Osią wszystkich wystąpień margrabiego na łamach „Zjednoczenia” jest uznanie potępienie wówczas traktatu wiedeńskiego i sprzecznym z polityką Czartoryskiego atak na wschodnie granice przedrozbiorowe. Co ciekawsze, wyrzekając się cudzych magnackich fortun na Ukrainie, szukał ekspansji politycznej dla Królestwa Polskiego w zaborze pruskim i austriackim.

kom poddajemy się, jak nim byłes już wbrew naszej woli. Porzucamy wszystkie nasze zdobycze... czemu ludzie nadają szumny tytuł prawa narodów. Są to zachmy, którymi miłosierdzie Europy raczyło nas osłaniać... Nie wylamujemy się spod żądnych praw rządzących Twoim Państwem: żadnych warunków nie stawiamy...”

List do Metternicha stanowi dalsze ogniwo rozwoju poglądu Wielopolskiego na rolę caratu w rozwiązaniu trójzaborowej kwestii polskiej. Poprzez trwanie przy pańszczyźnie w powstaniu listopadowym, przedwczesne powstanie krakowskie 1846 r. pogłębiało w margrabim niechęć do konspiracji niepodległościowej polityki słowiańskiej opartej o zacofany ustrój carski. Ale do tych poglądów jeszcze wrócimy.

IV.

PO rewolucji 1846 r. Wielopolski wraz z Hslem i Popielem znajduje teren uprzątnięty dla pracy organizacyjnej nad utworzeniem stronnictwa konserwatywnego, które swój program, oparty właśnie na koncepcji federacji narodów słowiańskich, miało — w sposób prokokujący w wielkim stylu — wyklądać w założonym piśmie „Czas”. Pierwszy numer tego słynnego później dzieła pracy Wielopolskiego pod redakcją Pawła Popiela, wyszedł w Krakowie dnia 4 listopada

ZYGMUNT KORC

I.

POWSTANIE styczniowe, jeden z wielu błędów naszego życia porobiorowego, było tym powstaniem, które w łonie społeczeństwa polskiego spowodowało przemiany najgłębsze i najdonioślejsze. Powstanie, w dniach ściśle określonych, w których wybuchu i w okolicznościach tamtejszych, było błędem i co do tego zdania są zgodne. Błąd ten, oplacony kolejną ofiarą przerwanego życia wielu tysięcy najlepszych i ofiarą rozbitego życia dalszych tysięcy, wiolelnię zsyłką okupujących swój udział w czynie zbrojnym — okazało się jednak szczególnie plodne w następstwa.

Jest rzeczą wyjątkowo cenną, iż autor ostatnio wydanej książki o powstaniu styczniowym*) zajmuje się mniej samymi problemami wystąpienia zbrojnego i walki skazanej na niepowodzenie, a więcej konsekwencjami tej walki, dalszymi losami ludzi, którzy z zawziętością powstaniową wyszli obronną ręką niosąc w sobie — jak iskry po pożarze — zarzewie dalszej walki.

Dlatego też, mniej zajmując się innymi postaciami i zagadnieniami z nimi związanymi, pragnę w tym omówieniu uwidatnić szczególnie sylwetki nosicieli tej idei, dwie postacie ukształtowane przez autora pod kątem prowadzenia dalszej walki. Postaciami tymi są: Anka i Igor. Zanim jednak przystąpimy do

gan: „Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy!”. W tej atmosferze — nawet reskrypt monarchy austriackiego znoszący „od dnia 15 maja 1848 roku w królestwach Galicji i Lodomerii wszelkie roboty pańszczyzniane i daniny poddańcze...” był oceniany ujemnie jako „socjalizm” przyniesiony przez Wiosnę Ludów. W istocie — walka dworu szlacheckiego z zagrodą chłopską przybrała w Galicji kształty często dla chłopów dotkliwsze, niż przed uwłaszczeniem. Reforma agrarna stała się w Galicji parodią „Czas” był więc odpowiedzialny kół konserwatywnych na ogłoszony w Krakowie w październiku 1848 r. program demokratyczny — rewolucyjny Wiktora Heltmana.

Od zarania swego żywota „Czas” rozwija tezę, że hasło niepodległości jest przyczyną wszystkich klęsk narodowych, a przede wszystkim Austrii w związku państw i w ramach tego związku mamy idealne rozwiązanie — autonomicznej Galicji. Pozostający w sferze wpływów Wielopolskiego, pisze Popiel:

„Przyczyną coraz nowych klęsk Polski i Galicji jest chęć wybiecia się na niepodległość. Niepodległość! Wolność narodów, święte hasło, szczytny zamiar, cel nieustanny dusz wyższych. A przecież musimy powiedzieć prawdę „niechaj boli, jako chce”. W imieniu niepodległości, w imieniu wolności narodowej, popychano naród w

ISKRY PO POŻARZE

(O „Sprawiedliwych” T. Łopalewskiego)

II.

ich bliższego poznania, należy dać im tło.

PRZEDE wszystkim tło historyczne, po wstępie tło społeczne. Należy stwierdzić, iż autor wyposażył swoich bohaterów w tło odpowiednio urozmaicone, mamy więc ułatwione zadanie, gdy wspólnie z czytelnikiem wrócimy do tamtych łun pożarów w legendzie narodowej znaczonej czasów.

To historyczne, to w głównej mierze przeświadczenie autora, że czytelnik wie dobrze, jak to tam było w tych latach sześćdziesiątych, gdy „włością pachnący wiatr przeleciał przez ziemie nad Wisłą”, gdy „w miasteczkach, w dworach, w niektórych wioskach widywano ludzi niosących broń i orły narodowe”, gdy „na leśnych polanach o pnie sosni i dębów odbijały się echa komendy w ojczystym języku, a słowa jej często przechodziły w pieśń, w pobudkę do walki, w okrzyki zwycięstwa”. Zaś „później coraz mniej było radości, coraz więcej cierpienia. Nad konarami borów rzadziej ukazywały się dymy biawokowych ognisk za to wzdłuż horyzontów polnych przesuwały się dymy pożarów” — Na takiej inwokacji do świadomości historycznej i wiary czytelnika opiera się w książce Łopalewskiego tło historyczne. Stwierdzając

jeszcze istnienie w środkowych jej partiach fragmentów poświęconych narodom komitetów powstaniowych podkreślił umowność tła historycznego.

Ciekawsze jest tło społeczne. Dziedzic, pan Jałłowski, poszedł do powstania podobnie, jak czerwony radykał Chmieleński i obok nich bezbarwny Ignacy Płatek, chłop pańszczyzniany tegoż pana Jabłonkowskiego. Każdy z nich chwytł za broń dla innego celu. Dziedzic, postępowy człowiek — patrz w tekście książki — mimo swej postępowości, chyba gwałtownie tradycji powstaniowej, idącej pandzieju z dziada i pradziada tego, co to w Barze się konfederował. Radykał w imię wyznawanych zasad i dyrektyw kierownictwa. Ignacy Płatek zaś — za panem dziedzicem pacierz — dla rozoznania świata i z kawalerskiej fantazji. Mało wydarzona jest ta „matka” narodowa i sklejona byle jak — jak się zdarzyło. Wielka w tym rola „grabii” Wielopolskiego, który wszystkimi siłami parł do uspokojenia przez wychwytywanie i rozstrzaly „czerwonych” a perswazje salonowe wśród białych. Roilo się politycznej głowie samodzielnej, od skienia tylko „samodzierzy” użależnione, panowanie w nadwładnym kraju. Zresztą, co to dużo mówić, mrowiło się od ambicji podsycających planów i panu Władysławowi, hrabiemu Zamojskie-

*) Artykuł stanowi fragment większej całości.

NAJMLŃDSI OBRADUJĄ

TRUDNO było nie skorzystać z zaproszenia! Zjazd samorządów dziecięcych, Domów Dziecka „Caritas” okręgu warszawskiego, jaki miał miejsce w niedzielę 3 stycznia w Strudze — to przecież zdarzenie niecodzienne, powtarzające się zaledwie raz do roku. Jak można więc było pominąć taką okazję? Czy jest ktoś, kogo nie interesowałyby radości i smutki najmłodszych obywateli, kto nie wysłuchałby z przyjemnością jak najbardziej poważnych, dziecięcych obrad?

Zastanówmy się, kto w większości przebywa w Domach Dziecka? Przede wszystkim sieroty i półsieroty, dzieci ubogich rodziców, którym trudno jest utrzymać liczną rodzinę, dzieci ofiar wojny itp. Czasem można tu spotkać i dzieci bezdomne, które kiedyś przez długie lata chowała ulica, dzieci dotknięte epilepsją i mało rozwinięte pod względem umysłowym, dzieci alkoholików i moralnie zaniedbane. Słowem, dzieci trudne — które, żeby wychować na normalnych, pełnowartościowych ludzi naszego kraju, trzeba nielada wysiłku ze strony wychowawców, nie byle jakiego poświęcenia i co najważniejsze — serca.

To, co dotychczas na tym odcinku osiągnięto, przeszło moje wszelkie oczekiwania. Wybierając się na ten niezwykły Zjazd, muszę przyznać, że czułam jakiś wewnętrzny niepokój, jakąś dziwną niepewność. Zdawało mi się, że widok tych najmłodszych pozostawi mi po sobie przede wszystkim żal i współczucie, rozgoryczy i dotkliwie zaboli...

Jakież było moje zdumienie i co więcej — radość, kiedy wsiadając w Warszawie przed siedzibą „Caritasu” do niebieskiego autokaru, wpadłam nagle w słoczną gromadę roześmianych, wesoło szczebioczących malenków. Ile tu było gwiaru, nawoływań, ile poważnych rozmów na temat pracy samorządów dziecięcych!

Aż trudno było uwierzyć słowom jednej z sióstr, że jeszcze do niedawna wiele z tych dzieci przypominało nieoswojone zwierzątka, nie dawało nikomu się do siebie zbliżyć, jedno drugiemu rzucało się do oczu, wyrywało łapczywie ręk jakikolwiek przedmiot. A były i wypadki, że kilkuletnie dziewczynki uciekały do lasu, wydawały dzieki okrzyki, operowały obrzydliwym słownikiem, złościwie i z premedytacją niszczyły cudzą własność.

Jakie pole do popisu miał tu wychowawca!

III ZJAZD ROZPOCZYNA OBRADY

ZJECHALI się do Strugi z całego warszawskiego okręgu mieszkający Domów Dziecka — dziewczęta i chłopcy, przejeżdżając

nością uroczystego dnia — zjechali na trzecie już z rzędu obrady dziecięce.

Zjazd rozpoczął się wspólnym wysłuchaniem Mszy św. w miejscowym kościele O.O. Michaelitów, którzy prowadzą tu również zakład „Caritasu” dla chłopców. (Zakład ten wybrano właśnie na miejsce obrad). Potem było śniadanie i — wreszcie znaleźliśmy się wszyscy w dużej sali konferencyjnej. Delegaci samorządów dziecięcych zajmują oczywiście czołowe miejsca: z boku pod ścianą skupili się starsi: przedstawiciele władz „Caritasu”, Wydziału Oświaty, personelu opiekuńczego Domów Dziecka oraz reprezentanci „Paxu”, który objął patronat nad zakładem w Strudze. Na podkreślenie zasłużył fakt, że tym razem przewodniczącym obrad powierzono wyłącznie dzieciom, w przeciwieństwie do zjazdu, jaki się odbył w lipcu ub. r., na którym obrady prowadzili razem z dziećmi także osoby dorosłe.

Przy stole prezydialnym zasiada czterastoletni ciemnowłosy chłopak o niebieskich oczach, rumianym, pucołowatym buziaku i zadartym nosie! To Tadek Matracki, długoletni wychowanek zakładu księży Michaelitów w Strudze — przewodniczący obrad III Zjazdu samorządów. Obok niego zasiadają delegaci różnych Domów Dziecka. Całe prezydium obrad to same dzieci, dorosłych w ogóle nie widad.

„Ale czy myślicie, że III Zjazd stracił coś przez to na powadze? Bynajmniej! To miało właśnie swój urok, to było dla wszystkich nowe, frapujące, niecodzienne...! A na sali — cisza jak mak'em zasiał...”

Nie mam oczywiście zamiaru referować punkt po punkcie porządku obrad, bowiem materiał, którym operuje, jest tak obfity i różnorodny (a co ważniejsze ciekawy!), że aby to wszystko szczegółowo opisać, trzeba by co najmniej całego dnia czasu i oczywiście nieograniczonych łamów gazety. Wszystko więc co tu podam, będzie w stosunku do całej treści zjazdowego dnia tylko jako takim telegraficznym skrótem.

POMAGAJĄ WYCHOWAWCOM

„...nie wszystkie byśmy jeszcze należycie wychowane i dlatego nie dziwnego, że nasze wychowawczynie miały z nami nie lada kłopot, szczególnie przy stosowaniu kar czy pochwał — mówi małeńka przedstawicielka Domu Dziecka z Derd. — W naszym domu znajdują się jeszcze takie dziewczynki, które uciekały do lasu, a gdy je wychowawczynie sprządały z powrotem, brzydki je wymyślały. Toteż nasza Rada Dziecięca postanowiła zorganizować pomoc z najbardziej wyrobionych dziewczynek, takich, które mogłyby dobrze wpływać na te najgorsze...”

BRONISŁAW MAMON

„W KRAJU LAT DZIECIENNYCH...”

DZIECIŃSTWO — magiczne słowo. Kojarzy się z nim zawsze okres bezpamiętnych lat, cudownych marzeń i projektów, smiesznych niepowodzeń i zmartwień. Czyż można pisać o nim obiektywnie? Wydaje się, że nie. Czas, który mijają — dziwny czarodziej — wciąż barwi na różowo przeżyta przeszłość. A jednak...?

Wyszła niedawno piękna książka, która mówi o tym okresie życia zastanawiająco prawdziwie, bez upiększeń — surowo. Książka nosi tytuł „Na rogatce” — Nazwisko autorki: Anna Kowalska. Charakter powieści? Autobiografia dzieciństwa, pełna osobistych wznajów autorki, które układają się w bogaty obraz życia dziecka urzędnika „akcyzy” (akcja powieści rozgrywa się we Lwowie, w początku dwudziestego wieku).

Świat dziecka niekoniecznie musi być mały, nieciekawny, choć zamknięty się przezwyciężając w wąskich obszarach — w domu rodzinnym, Dziecko posiada bowiem dziwne zdolności rozszerzania tych zwoznych przestrzeni dzięki stopniowo rozwijającej się w nim wyobraźni. Jak wyglądał świat Anny w powieści Kowalskiej? Szary, zwykły, monotony, rzadko urozmaicony bieg wydarzeń. Znamy go wszyscy z własnych doświadczeń. W amie długie wieczory przy piecu, opowiadania matki, stawianie domków z kart z młodszym rodzeństwem, czasem ślizgawka na lodzie, częściej spaceru z ojcem po mieście, podczas których zawierało się pierwsze znajomości z ulicami, placami, parkiem. W lecie upajające wywieceki z matką za miasto, na łąki, do lasu, na bionia po pieczarki. Raz do roku majówka, z którą się łączy wspomnienie stajów, młiekich traw, niebieskich fioletków, jasnego piasku. W okresie późniejszym — ścieżenie nad elementarzem, lekcje szkolne, nudne i cie-

Anna Kowalska, „Na rogatce”, str. 170, PIW, 1953.

...„miałymy dużo trudności i zmartwień, ale mimo wszystko z wyników jesteśmy zadowolone. Za naszą radą siostry wychowawczynie stosowały różne kary, takie jak zmiana sypialni, nagany publiczne, samokrytyka...”

Wzorowa, dobra praca może się również pochwalić samorząd Domu w Brańszczyku. Przez dość długi okres czasu dzieci nie miały tam chodnika i w czasie deszczu nogi im grzęzły w błocie. Kiedy więc przyszło dwóch robotników do pracy, wszyscy chłopcy zaangażowali swoją pomoc. Nosili cement, podsuwali płyty, ubijali bitkami.

„...to co my wszyscy zrobiliśmy w 3 dni — mówi ciemnowłosy małe — ci dwaj robotnicy zrobili w dwa tygodnie. W ten sposób dzięki naszej pracy chodnik mieliśmy szybciej. Teraz nie ma już błota i nie niszczyliśmy więcej butów...”

A teraz posłuchajmy, co mówił delegat Domu Dziecka w Cegłowie:

„...postanowiliśmy pomóc naszym wychowawcom podejmując cały szereg zobowiązań. Wiemy przecież, że drogie są książki i ubrania i że musimy je szanować. Dlatego zobowiązujemy się:

- oszczędzać przybory szkolne, szanować zeszyty i podręczniki;
- dbać o buty. Do tego celu wyznaczaliśmy odpowiedzialnego chłopca, który codziennie dokonuje przeglądu obuwia wszystkich kolegów i w wypadku potrzeby odkłada je do reperacji;
- najmniejsze rozdarcie ubrania zgłaszać natychmiast do nauczyciela.

„Chcemy, żeby nasz Dom był taki — mówiła jedna z małych delegatek — abymy go wszystkie bardzo kochały, aby był dla nas naprawdę rodzinnym domem, żebyśmy stanowiły jedną, kochającą się rodzinę. Jesteśmy niezmiernie wdzięczne siostram wychowawczynom za tak troskliwą opiekę i kochające serca. Dbają o nas, troszczą się, zabiegają jak tylko mogą o najmniejsze nawet drobności, uczą nas karności i posłuszeństwa, pomagają odróżnić dobro od zła. My same jesteśmy jeszcze niezupełnie zdyscyplinowane, zdajemy sobie sprawę z tego, że jeszcze nie wszystko wykonujemy tak, jak to wykonywać powinniśmy.

Przeszło dwie godziny trwało odbywanie sprawozdań z pracy dziecięcych samorządów. Wiele w nich było o osiągnięciach i sukcesach, o trudnościach w nauce, o samopomocy koleżeńskiej, wiele o kłopotach i troskach, o braku sprzętu sportowego, podręcznych polek na zeszyty, ciekawych książek itp.

Przed uczestnikami obrad przeszły się coraz to nowe kłopoty, drobne, dziecięce sprawy, z któ-

rych niejedne mogą się wydać dorosłym tak mało ważne!

Ale czy naprawdę są mało ważne? Przecież to są wszystkie najmłodsze kłopoty najmłodszych obywateli — kłopoty dla nich z pewnością duże, choć nam może wydają się błahe... Niemalemu wzruszeniu można było ulec, kiedy jedna z delegatek slegająca zaledwie noskiem do stołu zdawała szczegółowo sprawozdanie z wykonanych przez samorząd prac. No, bo pomyślemy sami, czy nie rozbrajający jest taki malec, gdy z największą powagą opowiada, że aby był porządek, sam przy pomocy dwóch jeszcze małych smyków przybił wieszak na korytarzu na fartuszkę porządkową? Albo czy nie ucieszy nas ich pomysł racjonalizatorski, a mianowicie wykorzystywanie przedzą ze starych ponochów i skarpetek do cerowania? A czy fakt utkania 17 puchowych kolder przez dziewczęta z Derd pozostał nam obojętny? A czy nie ubawił i nie ucieszył nas malec z Białoleki Dworskiej, który z dumą pokazywał nowe bamboszki na nogach, krzycząc radośnie, że uszył mu je jego kolega, Janek, „mistrz pantoflarski”? Czy fakt znieśienia 28 ton węgla do piwnicy przez dziewczęta z Derd nie jest wzruszający? A cały szereg innych, dziecięcych zdobyczy?

Przecież właściwie tym wszystkim zdobyciom poświęcono w głównej mierze III Zjazd. Przecież o to właśnie chodziło, by osiągnięcia i kłopoty tych domowych społeczeństw wypłynęły na wierzch, by wszyscy o nich uszyli, by na kłopoty znaleźli radę, a z doświadczeń skorzystali, przenosząc je na swój teren.

ICH WSPÓŁZAWODNICSTWO

MOŻNA było o nim usłyszeć w każdym sprawozdaniu z pracy samorządu. Ale najciekawsze, że współzawodnictwo pochwyliła młodzież z jakimś niebawym zacięciem, rozwijając je aż na trzy grupy: współzawodnictwo indywidualne, grupowe i między poszczególnymi Domami. Współzawodnictwo indywidualne odbywa się między innymi o najlepsze spitzanie i czystość osobistą, grupowe — o wzorowe stanie łóżek i spełnianie dyżurów; we współzawodnictwie między Domami główną rolę gra nauka, napisanie najlepszego utworu literackiego, wykonanie gazetki ściennej itp.

Wystarczyło być na Zjeździe w Strudzie, aby się przekonać, że współzawodnictwem interesuje się każdy z jego uczestników. Weźmy chociażby wytwór gazetki ściennej, jaką urządzono w jednej z sal zakładu w Strudzie. Komisja oceniająca gazetki (która wyjątkowo składała się z osób dorosłych),

DZIECKO

Śluchaj
Placz — nutka słowicza —
Hušta się na badyłku nocy,

Na ustach
Usteczkach-płateczkach
Wilga złocista
Rozpacziwym zanosy się gwizdem,

Szósty dzień stworzenia
Oto się skończy.
Niech będzie uwielbiony,
Który wywiódł człowieka z ziemi!

ZBIGNIEW ZALESKI

KONCERT

Ciemni od urodzenia i głuchoniemi
Unieśli uciążliwe ręce.
Powietrze dzwoni?...
To niewidzialne instrumenty —
Śpiewają jak brzozy...

Iskrań
Tony spod srebrnych smyczków wybiegły,
I napełniły ogniami dłonie,
Mrok płonie i cisza dzwicy —
Jak harfy ich ludzkie ręce,
Wyżej i wyżej się wznoszą —
Po rosę, po deszcz dźwięków,
Oczodoły przymknięte unoszą.
Sami —
Po środku nocy i ciszy —
Owiami —
Światłami skrzypiec.

nie mogła się opędzić od wielu ciekawskich, z niecierpliwością czekających ogłoszenia wyników. A nam wszystkim — muszę przyznać — trudno było znaleźć najlepszą gazetkę „wśród wszystkich wywieszonych do oceny. Każda była ładna i starannie wykonana, każda w swoim guście. No, ale w końcu po obliczeniu punktów pierwsze miejsce dostało się chłopcom ze Strugi. Jako nagrodę otrzymali za nią trzy pary nart i kilka kompletów dresów. Drugie miejsce zajął warszawski Dom Dziecka z ul. Hetmańskiej, trzecie — Pludy.

Proporczyk przechodzi „Najlepszemu w nauce” wręczono uroczyste dziewczętom z Pustelnika, nagrodę w postaci kilku par tyzów otrzymał Anin za najlepszy utwór literacki (ocenił Jan Dobraczyński).

Obawiam się, że przedstawiony tu przez mnie obraz współzawodnictwa byłby niepełny, gdyby pominąć odbywający się na Zjeździe konkurs recytacji. Zwyciężyła w nim 10-letnia wychowanka Domu Dziecka z Międzyzlesia za deklamacją wyjątku z „Pana Tadeusza” pt. „Śniadanie”. Drugie miejsce wzię-

ly Struga i Białoleka, trzecie — Pludy i Świdry.

Trudno także nie pamiętać o wniosku delegata z Domu Dziecka w Otwocku (ul. Staszica), który w związku ze śmiercią Juliana Tuwima zaproponował uczestnikom obrad wysłanie depeszy kondoleńczej do Związku Literatów Polskich, następującej treści:

„My, dzieci z Domów Dziecka „Caritas” województwa warszawskiego, zebrane w dniu 3 stycznia 1954 r. na III Zjeździe Samorządów Dziecięcych w Strudzie, wyrażamy swój szczery żal po stracie Juliana Tuwima, czołowego poety naszych czasów. Jednocześnie zobowiązujemy się poprzez wytwórą pracę na lekcjach języka polskiego umacniać dzieło wielkiego Pisarza”.

III Zjazd Samorządów Dziecięcych w Strudzie.

MYŚLE, że komentarze są tu zbędne, bowiem postawę dzieci wobec najważniejszych wydarzeń — powinien ocenić każdy sam sobie.

Nie będę tu już wspominać o całym szeregu atrakcji zjazdowych. Brak na to miejsca. Dodam tylko, że ku ogromnej radości dzieci urządzono jeszcze loterię fantową. W posiadanie naszych milusińskich dostało się przeszło 20 lalek, kilkadziesiąt paczek ze słodyczkami i prawdziwą... krowką! Tak, to nie żarty — krowka była główną wygraną, jaka dostała się chłopcom z Domu Dziecka w Brańszczyku. Ach, co to była za radość!

A więc pomyślano o wszystkim. Nie zabrakło niczego, co mogłoby uprzyjemnić delegatom dzień Zjazdu.

Kończąc obrady, uczestnicy III Zjazdu podjęli jednogłośnie przedstawioną przez prezydium rezolucję. A oto jej treść:

„My, wychowankowie Domów Dziecka „Caritas” woj. warszawskiego, zebrani na III Zjeździe Rad Dziecięcych w dniu 3 stycznia 1954 r. postanawiamy:

- zlikwidować do minimum oceny niedostateczne,
- dobrze i przykładnie zachowywać się na terenie naszych Domów i w szkole,
- być świadomymi i zdyscyplinowanymi wychowankami, aby w przyszłości zająć w Ojczyźnie odpowiednie miejsce przy warsztatach pracy.

Poza tym jako produjący aktywnych Domów będziemy ściśle współpracować z wychowawcami w celu wyrobienia w nas pięknych i wzniosłych charakterów, by być „dumą i chlubą” Polski Ludowej”.

PATRZĄC na roztańczone w walcu dziecięce nóżki i roześmiane buzie miało się uczucie, że te dzieci są naprawdę szczęśliwe. I trudno dziwić się przybyłemu na Zjazd Siostrm, że spoglądały na swych wychowanków z prawdziwą miłością, spozostzegając z zadowoleniem, jak między mieszkanicami różnych Domów nawiązywała się naprawdę serdeczna przyjaźń. Ale jeszcze przyjemniej było pomyśleć, że dzieciom tym dzięki wielkiemu nakładowi pracy wychowawczej i okazaniu kochającego serca stworzono nowe, jasne dzieciństwo. Pozostaje mi więc tylko złożyć wyrazy szczerego uznania dla osiągniętych pełnych poświęcenia Siostr i życzyć im nadal tak owocnej pracy, jak dotychczas.

BRONISŁAW MAMON

OSSOLINEUM — PLANY NA NAJBLIŻSZY ROK PRACY WYDAWNICZEJ

Listy z więzienia

RÓZMOWA z wicedyrektorem Wydawnictwa, dr Julianem Pelcem zaczyna się od razu od danych konkretnych. Dyrektor bez żadnych wstępów wkracza in medias res i rozłożywszy na stole plany wydawnicze informuje mnie o tym, co w roku bieżącym zasłużone wydawnictwo wypuści na rynek księgarski. Zastrzega się tylko, że podaje tytuły ważniejsze — tytuły, co do których wydania nie ma już najmniejszych wątpliwości.

Na wstępie jednak, na marginesie właściwej rozmowy notuję tylko specjalnie aktualne informacje dr Pelca dotyczące wkładu Wydawnictwa Ossolineum w Rok Odrodzenia. Pierwszą bezsprzecznie pozycją będzie tu tom I Pism Wszystkich Mikołaja Reja — „Krótka rozprawa”, wydany w „Bibliotece Pisarzy Polskich” w Serii B jako jej nr 1. Dla wyjaśnienia dodajemy, że Biblioteka Pisarzy Polskich wychodzić będzie w dwu seriach, przy czym Seria A przyniesie wydawnictwa nietypowe, Seria B natomiast familiara fotograficzna, jak również ich transliteracje czy transkrypcje. Redakcję tego wielkiego zamierzenia edytorskiego objął IBL przy PAN — a skład Kolegium Redakcyjnego, jak również zespołowe redagowanie każdego tomu przez najlepszych fachowców daje najgłębsze przekonanie do tekstów, jakie ujrzymy w ramach tej „Biblioteki”.

W tej samej Bibliotece Pisarzy Polakich ukaza się Dzieła Wszystkich w postaci fotograficznej jak również w dublowanym wydaniu transkrybowanym Jana Kochanowskiego, którego Wydawnictwo uczciło w Roku Odrodzenia wypuszczeniem na rynek: „Pieśni” i „Przekaz” w fototypii pierwszych wydań, przygotowanej do druku przez prof. W. Floryana. „Biblioteka Narodowa” z okazji „Roku” powiększyła się o 2 tomy: w Serii polskiej o pozycję „Obrońcy języka polskiego” w opr. prof. W. Taszyckiego, w Serii zaś obecnej o „Pochwałę głupoty” Erazma z Czerwonej Grzydy w przekładzie znanego już z Metamorfoz Apulejusza Edw. na Jędrkiewicza.

Interesujących się sprawami języka na pewno zainteresuje książka Kuraskiewicza — „Pochodzenie polskiego języka literackiego”.

Zanotowanie tych pozycji kwitujemy stwierdzeniem, że podaliśmy tylko to, co nie zostało ujęte w katalogach poprzednich.

Przypominając do omawiania zrebów planu wydawniczego na rok 1954 dr Pelc przypomina mi tylko schematycznie charakter Wydawnictwa w wypunktowaniu ogólnych zadań pracy. A więc 1) Literatura i nauka o literaturze. 2) Historia. 3) Historia sztuki. 4) Bibliografia i bibliologia. Poza te granice Wydawnictwo wykracza w wypadkach zupełnie wyjątkowych, a więc nieco jak Płat w Credo znajduje się tu Polityka Arystotelesa w przekładzie prof. L. Piotrowskiego, przejęta po PAU, gdyż jak wiadomo redagowanie dzieł klasyków filozofii przejęło PWN w Warszawie.

LITERATURA I NAUKA
O LITERATURZE

TEKSTY literackie. Niewątpliwie na pierwszym miejscu ustawić tu należy dalsze tomy Dzieł Wszystkich Słowackiego pod red. prof. J. Kleinera. Dyr. Pelc informuje że w roku 1953 (grudzień) ukazał się jeszcze jeden tom tego pomnikowego wydawnictwa — że trudno mu powiedzieć w tej chwili, które tomy i ile opuści drukarnię w roku bieżącym. Przypuszczając wolno, że nie będzie ich mniej niż w roku ubiegłym, a dodać warto, że redakcja „Dzieł” oprócz przededagowanych gruntu tomy przedwojennych odda do druku tomy dotychczas nie opracowane. Rok 1954 przyniesie również pierwszą tom „Dzieł wszystkich” Brodzińskiego, jak również wspomnianego już wydania „Dzieł wszystkich” Kochanowskiego, nad którym pracuje prof. W. Floryan. Poza tym w ramach „Biblioteki Pisarzy Polskich” ukaza się „Opejgi doskonałe” Sarbiewskiego, „Worek Judaszów” Klonowicza, „Castus Joseph” Szymonowicza i „Dafnis” Twardowskiego.

Nauka o literaturze. Dział ten obejmuje pozycje przygotowywane i redagowane przez IBL w ramach „Studiów historyczno-literackich” pod red. J. Kotta. Tu również notujemy tylko niektóre pozycje, zaznaczając, że pieczęć Ossolineum ozdobi niewątpliwie więcej okładek książkowych tej Serii. Tak więc W. Ku-

backi da opracowanie „Kronik dramatycznych J. Słowackiego”, S. Sandler wzbogaci literoturznawstwo o nową książkę pt. „U początków marksistowskiej krytyki literackiej” (Bronisław Białobłocki), „Diderot i Encyklopedia w Polsce” to tytuł książki E. Rzatowskiej. K. Wyka który niedawno ukończył książkę pt. „Słowacki i Matejko” wyda w roku obecnym ogólne studium o Słowackim pt. „Twórczość Słowackiego”. Według słów dr Pelca będzie to pewnego rodzaju pendant do Stefana Żółkiewskiego „Sporu o Mickiewicza”.

W ramach działu literackiego znajdzie się również kilka pozycji przynależących do korespondencji wybranych pisarzy. I tak rok 1954 zapoczątkuje wydanie Listów Żmichowskiej, Orzeszkowej, Przybyszewskiego (tom III), nie wykluczone jest także, że przygotowywane wydanie Listów Dygasińskiego i Zapolskiej również w roku bieżącym ujrzy światło dzienne. Jeśli już mowa o Korespondencji literackiej dodajmy, że koniec 1953 roku przyniósł „Listy” Trembeckiego w opr. Kotta i Kalety,

Bogatym, samodzielnym fragmentem Działu Literackiego jest powszechnie znana „Biblioteka Narodowa”, redagowana przez prof. J. Hulewicza i dr S. Sandlera. Rok 1954 przyniesie tu wiele pozycji nowych, dotąd w ramach tej serii nie publikowanych, jak również wznowienia niektórych numerów, których nakłady rozchwytywane są po księgarniach.

W Serii I-iej ujrzymy m. in. „Wybór poezji” Cypriana Godebskiego w opr. Kubikowskiego, „Podróż do Ciemnogrodu” Potockiego w opr. E. Kipy, „Pana Geldhaba” Fredry w opr. K. Wyki, „Dworzanina” Górnickiego w opr. R. Pollaka (wyd. II przerobione), „W matym domku” Rittnera w opr. Z. Raszewskiego. Wznawione zostaną „Sarmatyzm” Zablockiego i „Brühl” Kraszewskiego.

Seria II powiększy się m. in. o na-

stepujące arcydzieła literatury obcej: „Podróż z Petersburga do Moskwy” Radiszczewa w tłum. S. Polak i opr. W. Jakubowskiego, „Byliny” w tłum. Cz. Jastrzębiec-Kozłowski w opr. M. Jakubca, „Burza” Ostrowskiego w tłum. Jędrzejewicza, w opr. Z. Urbańskiego. Starożytność klasyczną reprezentują „Moralia” Plutarcha w tłum. i opr. Z. Abramowicza, i Cyserona „Wybór pism filozoficznych” (w tłum. K. Wisłockiej-Remerowej, opracowane przez prof. Plezię. Z literatury czeskiej ujrzymy „Wybór poezji” Vrchlickiego w tłum. i opr. J. Magnuszewskiego, literaturę niemiecką reprezentuje „Egmont” Goethego w tłum. K. Ilakowicz i w opr. Z. Ciechanowskiej, „Owce źródło” Lope de Vega w tłum. L. H. Morstina, w opr. M. Strzałkowej przyczyni się do wzbogacenia naszej wiedzy o ciągle jeszcze niedostatecznie znanej klasycznej literaturze hiszpańskiej.

Pozostają do zreferowania dwa fragmenty Działu I, wydawnictwa seryjne — Nasza Biblioteka i Biblioteka Powszechna — obie stanowiące nowości w dotychczasowej pracy wydawniczej Ossolineum. „Nasza Biblioteka” przynosi teksty literackie dla użytku szkolnictwa średniego jest oczywiście redagowana inaczej niż Biblioteka Narodowa. Wstępy, to doskonale wstępowały ossolińskie, w tej serii są ujmowane głównie z punktu widzenia historyczno-literackiego, a nie filologicznego jak w BN. Książki te, jak wykazała dwuletnia praktyka (tyle bowiem liczy sobie „Nasza Biblioteka”) są cenną i niezastąpioną pomocą nie tylko dla młodzieży szkolnej ale także dla kadry nauczycielskiej. Redakcję serii prowadzi H. Kiernicka, do współpracy wciągnięto młodych, nieznanych szerzej polonistów, głównie z terenu wrocławskiego. W ramach tej serii ukaza się w roku obecnym: Kochanowskiego „Wybór poezji”, Słowackiego „Kordian” i „Lilla Weneda”, „Wybór tekstów z literatury mieszczańskiej wieku XVII”, „Dziadów część III”, Konopnickiej

„Nowele i opowiadania”, Publicystyka wieku Oświecenia i Turgeniewa „Szlacheckie gniazdo”.

„Biblioteka Powszechna” stworzona w 1953 r. ma na swym koncie dotychczas jedną pozycję: „Ulan” Kraszewskiego. Na rok najbliższy przewidziane jest wydanie Wyboru poezji Słowackiego i Kochanowskiego obok Wolskiego „Domku przy ulicy Głębokiej”. Typ tej serii jest znowu inny. Jest to wydawnictwo typowo masowe — dające krótki, tym niemniej podstawowy i treściwy wstęp, a oprócz tego obszerny, popularnie zredagowany komentarz.

DZIAŁ HISTORII

jest pod względem ilości wydawniczych o wiele uboższy niż Dział literacki — co chyba nie wzbudza ani zdziwienia ani obawy. Znajdują się tu wydawnictwa tekstów źródłowych (przeważnie jako kontynuacja prac prowadzonych przez PAU) a obok tego kilka pozycji literatury krytycznej, głównie opracowań monograficznych. Warto tu wymienić tom IV Listów Lelewela w opr. dr H. Więckowskiej i tom II Listów Jana Śniadeckiego w opr. prof. S. Tenca i dr M. Chamcówny, obok udostępnienia Aktów Powstania Kościuszkowskiego (T. III) w opr. prof. E. Kipy i Dzwonkowskiego i Aktów Sejmikowych województwa krakowskiego (fascykul 2 tomu II) w opr. dr Przybosia.

Na czoło opracowań monograficznych wysuwa się dzieło prof. N. Gąsiorowskiej „Zmierzch poddaństwa i cechów 1764 — 1795” stanowiące jedną z trzech części większej całości. Prof. K. Piwarski opracuje w swej książce historię „Śląska pod panowaniem Habsburgów”, a rzadko stosunkowo brane na warsztat zagadnienia historii ustroju wzbogacają się o pozycję pt. „Ascriptica w Polsce średniowiecznej” w opr. dr W. Wolfartha.

Mocno z poprzednim złączony Dział Historii Sztuki wymaga mar-

ginesowego choćby wyjaśnienia. Otóż książki sygnowane przez Ossolineum przynoszą tu tylko teksty źródłowe, nie publikuje się zupełnie wydawnictw artystycznych. Robota wydawnicza opiera się tu na bezpośrednim kontakcie z Państwowym Instytutem Sztuki w Warszawie, tzn. wydaje się wyłącznie pozycje przygotowane przez PIS. I znowu wypadnie wymienić tylko pozycje niektóre, a więc „Korespondencje braci Gieryskich”, Stanisława Masłowskiego „Materiały i dokumenty”, „Majstersztyki mularskie” w opr. Z. Rębskiego, „Sztukę rosyjską do roku 1914” w opr. prof. V. Mole, „Tkaniny i hafty polskie od XVI do XVIII w.” w opr. T. Mańkowskiego, A. Opalińskiego „Krótką naukę budowania” w opr. M. Piwockiej. Miłośników naszej stolicy i zbieraczy warszawianów zainteresują na pewno dwie pozycje: A. Magiery „Estetyka miasta Warszawy” w opr. J. i E. Szwankowskiego i „Teatr W. Bogusławskiego w latach 1789 — 1814” w opr. E. Szwankowskiego.

Pozostaje zreferować dział ostatni, Bibliografię i bibliologię. Bibliografię reprezentuje bardzo potrzebne i oczekiwane wydawnictwo — mianowicie Bibliografia literacka za 1948 rok opr. przez IBL. Jest to wydawnictwo ciągle planowane w ten sposób, że w latach następnych (po roku 1954) ukazywać się będą analogiczne zestawienia za lata sprzed roku 1948. Praca w Dziale Bibliografii w dalszym ciągu postępować będzie dwukierunkowo. Przyniesie 1) Materiały bibliograficzne ogólne i 2) Materiały do dzieł postępowej publicystyki.

W zakresie prac nad językiem nie można pominąć 3 pozycji: 1) kontynuacji Słownika Staropolskiego zapoczątkowanego przez PAU. Objętnie on 5 tomów pięcioczeszytowych (objętość jednego zeszytu — 5 arkuszy druku). Redaguje go specjalna pracownia w Krakowie pod kierunkiem prof. K. Nitscha. Do wydanych dotychczas dwu zeszytów plan roku 1954 dorzuci dwa dalsze. 2) Słownik łaciny średniowiecznej redagowany przez Komitet pod red. prof. Plezi zaplanowany jest również na 5 tomów pięcioczeszytowych. Do tej chwili opuścił drukarnię zeszyt pierwszy — rok obecny przyniesie zeszyt drugi i trzeci. Warunki nabycia i kolportażu obu tych pozycji nie są jeszcze znane — przypuszczając wolno, że DK rozpięte na nie subskrypcję. Trzecią pozycją godną wzmianki będzie tu książka nestora naszych językoznawców, a ściślej dialektologów, K. Nitscha „Szkice z historii polskiej dialektologii”.

I na zakończenie krótka informacja. — Na zlecenie PAN Wydawnictwo Ossolineum przystąpiło do publikacji seryjnej pod hasłem „Biblioteka Klasyków Pedagogiki” redagowanej przez sędziego prof. W. Heinricha z Krakowa. Jako pierwsze znajdziemy tu na półkach księgarskich „Emila” J. J. Rousseau i dzieło postępowego szwajcarskiego pedagoga-reformatora, Jana Henryka Pestalozzkiego (1746 — 1827) pt. „Jak Gertruda uczy dzieci swoje”.

*

ROZCZĄC do sumaryczne, wypełnione nazwiskami i tytułami sprawozdanie na temat jednego tylko roku pracy jednego Wydawnictwa pragniemy dodać raz jeszcze, że pominięto wiele pozycji, głównie ze względu na zaplanowanie ich w pewnym sensie warunkowe. Wyczerpujące i rzeczowe informacje Dyrektora Pelca ułatwiły opracowanie całego materiału, sposób prowadzenia rozmowy nie dopuszczał pytań w rodzaju „co można czytelnikom powiedzieć na temat oczekiwanego wydania Dzieł Wszystkich I. Krasickiego czy innych pozycji, o których niejednokrotnie znajdowaliśmy wzmianki w naszych periodykach”.

Ciekawy dziennikarz i bibliofil czuł się zmuszony utrzymać podobne pytania na końcu języka w tym przekonaniu, że rok 1954 nie konkretnego w tych, w stanie chaosu jeszcze pozostających, zamierzeniach wydawniczych nie przyniesie. Za rzeczowe, dokładne i przejrzyste podane informacje, za wyjątkowo przyjemną trzygodzinną rozmowę w Biurze Wydawnictwa przy Placu Solnym pozwolę sobie na tym miejscu raz jeszcze złożyć p. dr Julianowi Pelcowskiemu gorące podziękowanie.

Zygmunt Korc

*) Tadeusz Łopalewski: „Sprawiedliwi” — Spółdzielnia Wydawnicza — Oświatowa „Czytelnik” — Warszawa 1952 — str. 479 — nakład 7140

Iskry po pożarze

(Dokończenie ze str. 3)

nił niebawem białą plamę sprawy chłopskiej znoszącej miłośniczym nakazem pańszczyznę w całej prawnej rozciągłości i otwierając tym drogę dla pomyślnego rozwoju nowej grupy społecznej, zwanej w potocznym żargonie grupą dorobkiewiczów.

Grupa ta na różne sposoby ukazana przez autora: bierna w stosunku do powstania i, czuwająca zarazem, jakie to korzyści z dalszego obrotu spraw da się wyliczyć, samemu karku nie nastawiając. Tu sklepik się otwierało, na naiwności i braku instynktów kupieckiego chłopca prosperujący, tam tocząca się w rublach fabryczka. Uwolniony od pańszczyzny chłop chwycił pierwszy oddech samodzielności i potrzebował źródeł zbycia swoich plonów, zaś kupcy rosyjscy — „wiecie, jacy oni są” — wciąż wolał: bolsze i bolsze... Dobrze się żyje w czasach, gdy starość ostatnie mateczniki „ludzi niósących broń i orły narodowe”, dobrze, coraz lepiej. Po latach z posiewu tego wrotyśno świadoma szych celów — burżuazja polska. Tymczasem kładzie się fundamenty solidne na popiołach po wygaszonym pożarze. W popiołach jednak żarzą się iskry...

III.

ANKA i Igor. O takich mówią się dawniej: szlachetnie urodzeni. Cieszyć się trzeba, gdy poszli słuszną drogą. Cóż to są za potacie? Dlaczego wyodrębniłmy je na fali wskazań autora? Powstanie, gdy wygasła, nie miało śmierci lekkiej. Jak głównia na wietrze, sypało iskrami. Testament zaś pozostawił jasny i nieodparty — walczyć dalej! Któż jednak miał dalej walczyć? Czy cieniu sponcywających pod brzoźkami na rozstajnych drogach, czy ci, „co szczęścia w domu nie znaleźli, bo ich nie było w Ojczyźnie?” W cieniu szubienic i rozstajnych krzyżów formowała się nowa armia z tych, którzy odnaleźli się przez powstanie. Z tych, których czyn styczniowy, jakkolwiek pozornie bezpłodny i przegrany, wytrącił z orbity spraw codziennych dając im w ręce orły kłęski... Paradoks, i pod nim iskry się tlą te same, po pożarze!

Panna z dobrego domu, mniemać należy, dobrze, poprawnie i według kryteriów swej kasty wychowana. Stąd pełna ognia patriotycznego i porwywów najszlachetniejszych. Stąd palająca świętym oburzeniem na gwałcieli domowego spokoju, na wydzieroci bezwzględnych, pedających ją precz z domu ojców. Stąd, znowu zgodnie z tra-

dycją i podstawami domowego wychowania, wyniosła, zamknięta wobec zabobnego munduru.

Igor Iwanycz... — przez matkę z książką Gruzji. „Mało ważne są te gruzińskie kniazie, ale zawsze szlachetna krew!” Egzaltowany i porywczy oficer (patrz: „porywająca” walka z kwiatami kasztanowca lub równie romantyczne zdarzenie na balu u wojennego narzecznika Łomży).

Ma on swoje tajne powiązania z ludźmi powstania. Wspomina więc: „Kaplinski, Sliwicki, Finin, Kutuzow, Iwanew, Bezkiszkin, Podchaluzin i... druh najmlszi i nauczyciel — Andrzej Potiebnie”. To, co wiemy o Potiebnie, jego działalności i losie, każe nam w tym miejscu poważnie zastanowić się nad konstrukcją książki. Trudno nam bowiem przyjąć, aby „druh najmlszi” nie powołał Igora Iwanycza Hołowni do współdziałania w tamtych czasach najgorętszych, gdy wykulały się fundamenty powstania. A tymczasem nic o tym: mały garnizon wojskowy w Łomży, zadurzenie w pannie ze szlacheckiego dworku i karierowicz Kozlawkin, jako opiekun z matczynej poręki. Ten okres dziejów Igora Hołowni jest w ujęciu autora mało przekonujący. Myślę, że nie należało powoływać się na tak wysoki przyjaźnie, albo budować dzieje naszego bohatera trochę odmiennie. W tym bowiem ujęciu, mimo całej naszej sympatii dla Iwanycza, losy jego przedstawiają się nam trochę niejasno i trochę papierowo.

Dalsze dzieje toczą się poprawnie. Przez usamodzielnienie się panny i spotkanie z oryginałem, „klubistą” Szareckim (nie mylić z Antonim tegoż nazwiska), los jej możemy uważać za przesądzony. Będą to lata uświadomienia i pracy. Piękny poręcznik kozaków zblednie w oczach panny po zrzuconiu munduru, ale nabierze rumieńców życia jako student-rewolucjonista i ofiara — jeszcze jedna — zyski na Syberii. Zgadzały się na porozumienie serc, gdy równocześnie następuje porozumienie światopoglądów. Oczywiście, gdyby doszło do dyskusji na ten temat, nie umielibyśmy odpowiedzieć jasno i przekonująco na pytanie, czy porozumienie światopoglądów spowodowało porozumienie serc, czy też było odwrotnie.

Przejdźmy jednak dalej, gdyż taka widocznie była potrzeba autora, potrzeba konstrukcji dzieła. Często tak się zdarza, że wymienione obok siebie porozumienia rzeczywiście spotykamy obok siebie, gdyż wzajemnie przenikają się i uzupełniają.

IV.

NA podłożu zbliżenia dwojga ludzi: Polki i Rosjanina, buduje autor swoją konstrukcję współdziałania ruchów wolnościowych obu narodów. Podkreśliłmy wyżej wątpliwość tej konstrukcji. Należy jeszcze dodać, iż w książce Łopalewskiego znajdujemy dalsze, nie wymienione dotąd przykłady współdziałania przed i w okresie powstania. Składają wiadomo — i tu następuje uzupełnienie umownego tła historycznego — o ściśłym współdziałaniu komitetów rewolucyjnych: polskiego i rosyjskiego oraz o oddziale oficerów rosyjskich w przygotowaniu powstania. Czas wybuchu, uwarunkowany ściśle okolicznościami, mogącymi spowodować zupełne rozbieżności powstających jeszcze w roku poprzedzającym wybuch, został w szeregach polskich wielu Rosjan, podobnie jak i czas walki — że znów powołamy się na przedstawione nam przez autora Andrzeja Potiebnie.

Od czasów powstania styczniowego datuje się coraz pełniejsza współpraca rewolucjonistów polskich z rosyjskimi. Dalsze, nieodkryte bezpośrednio losy Anki i Igora — to będą właśnie lata tej walki. W zamierzeniu autora postacie te mają wymowę — może perspektywicznego — symbolu.

V.

PEWNEGO szarego popołudnia, takiego, jak każde popołudnie warszawskie, do staromiejskiego antykwiariatu, prowadzonego przez młodą, samotną kobietę — zawitał gość. Nie mówił wiele, ale ze słów jego wynikało, iż czuje się tutaj wprost gospodarzem. To z dalekiej katowni odezwał się zesłaniec — Igor Hołownia.

Od tego dnia tam powstał „ich punkt”. Należy mniemać, iż załatwiano na tym punkcie sprawy mające mało wspólnego z dobrem prosperowaniem sklepiku produktów wiejskich lub dalszym rozwojem fabryczki okuć i klamek. Mamy pewność, że samotna panna brała czynny udział w załatwianiu tych spraw. Możemy przypuszczać, iż kiedyś zawitał tam wygnaniec, Igor. Pod sklepikami, pod fabryczkami i fabrykami tlił się niewidzialny — do czasu — płomień.

Witold Piekarski, Listy z więzienia (1879) opracował Jerzy Zathew, Wrocław, 1953, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, str. 66, cena zł 6.50.

PRZEKLENSTWO rękopisu szczyt gólinie ciąży na naszej literaturze. Tytuł rzeczy poznania godnych się nie zna, nie czyta; lada jaka kłeska żywiłowa może nas pozabawić nie tylko cennych pamiątek historycznych, ale także cennych dzieł literackich. Powieści, sztuki teatralne, poezja — z tym jeszcze gali same autorzy, a jeśli były wartościowe, ich spadkobiercy. Nikt zaś nie może się domagać publikowania plodów szacownych składni grafomanów, choćby sobie ile czyły one nawet kilka wieków. Ale pamiątki, listy, wspomnienia, te marginalia literackie są wciąż u nas stanowczo niedoceniane (zaś nadto właśnie spychane na margines), z trudem torując sobie drogę do miana wielkiej literatury. A wydawnictwa tego typu są potrzebne nie tylko dla historyka obyczajowości, wydawnictwa te urzekają swym autentyzmem są niejednokrotnie bardziej czytane niż przez brzmiałe, odkurzane powieści. Wystarczy tylko przypomnieć ogromną popularność niedawno ogłoszonych pamiętników Chłędowskiego, malujących stosunki i stosunek do c. k. Austrii. Ilu jest świętych narratorów pozabawionych fantazji twórczej, ilu jest ludzi dobrze władających piórem, którzy nigdy nie chwytali za nie, by napisać utwor belewystyczny, a którzy cały swój ukryty talent wyładowali w listach do przyjaciół, czy napisanych pod koniec życia wspomnień? Ta część literatury to nie jest jakieś tam piśmiennictwo, ale to jest ważna część składowa każdej literatury pięknej. Zagranica to się drukuje, a u nas do niedawna pełne były tego archiwa. W czasie obu wojen światowych wiele archiwów spłonęło, a teraz naprawdę ważna, cenna, konieczna inicjatywa, na tym mocno zaniedbanym polu rozwinął Instytut Badań Literackich i Ossolineum.

Wśród wielu pozycji tego typu, które opuściły oficynę wrocławską „Listy z więzienia” Witolda Piekarskiego zajmują nieposłownie miejsce. Tę małą kilkudziesięciostroennicową broszurę można uważać za jeszcze jeden cenny przyczynek do dziejów polskiego ruchu robotniczego, zapiekowanych przez poczciwych filologów w niestrawną skorupkę objaśnień, gdyby „Listy z więzienia” nie były zarazem pasjonującą lekturą o dużych walorach literackich. Napisane są z nadzwyczajną pasją, szczerością i oddaniem sprawie.

„Nie tuszę, nie marzę, abym dla rewolucji socjalnej i narodowej wiele zrobił, znam i nie przeceniam siebie, ale przez więzienia, katog, knuty i szubienic rzędy będę szedł kład głowę moją za idee moje, będę kładł się szczeblem, aby inni szli wyżej, a wyżej! To umiłowane idee, ta wiara w jej przyszłość promienną da mi znieść wszystko przeciерieć wszystko z ussolym usmiechem, z wesołą na ustach epikurą...” (str. 41) — pisze Witold Piekarski w jednym z listów do ojca. W innym miejscu zarzuca ułożeniemu ojcu — „Wście, ojze, sunem pokolenia reakcji...” (str. 38). Mamy w tych listach zawarty konflikt pokoleń, między miłością do ojca a miłością do sprawy, mamy kwestie prawnicze dotyczące procesu, obrońców, świadków, poszłek; apostrofy do duchowych przywódców: Ehrenberga i Bolesławskiego — Kraszewskiego. Jest tu ta napięta atmosfera pierwszych polskich procesów socjalistycznych — atmosfera wykluwania się polskiego postępu. To ten sam polski rewolucjonista, który często schodził na zle drogi ludomianstwa i fałszywych utopii, ten kruszec kruszców polskiego idzowca, który wiódł na pasku dzieje narodowe poprzez ostatnie stulecie. Najlepiej widać to w listach i dokumentach. Gdy się zaczyna o tym pisać, to powstaje zazwyczaj okłiwa hagiografia. Ucieka pasja walki, gdy na nią spoglądamy z perspektywy historycznej.

Publikacja tego typu zbioru listów i dokumentów, nabiera właściwej wagi dopiero wtedy, gdy jest należycie opracowana. Książki Ossolineum odznaczają się zawsze starannym wydaniem. I ta pozycja nie wylamuje się z przyjętej zasady, zawiera oprócz samego tekstu listów i wyborów związanych z procesem dokumentów rzeczowy wstęp i dokładne objaśnienia pióra Jerzego Zathewa umożliwiają ciekawą lekturę także nieprzygotowanemu, nieorientującemu się w drobnych szczegółach historycznych epoki czytelnikowi.

Tak więc i filolog może się na coś przydać, kiedy jak mówi prof. T. Mikulski, prowadzi dobrą kuchnię bez polonistycznego bigosu. Na szczególną uwagę zasługuje piękna szata graficzna książki.

Inicjatywa Ossolineum powinna być rozszerzona. Należy wydawać literaturę autentyczną i dokumentalną, nie tylko dla dobra uczony, ale przede wszystkim dla dobra lańkających pełnokrwistej i pulsującej życiem lektury szerokich rzesz czytelników.

DRAMATY LUDZKIE W KOPALNI „ŚWIT”

T A N I A

„Kret”, sztuka w 4 aktach Jerzego Lutowskiego. Teatr Narodowy w Warszawie. Reżyseria: Józef Wyszomirski, dekoracje i kostiumy: Jan Kosiński, ilustracja muzyczna: Andrzej Markowski.

Jerzy Lutowski jest wielką nadzieją naszej dramaturgii, nie przeto dziwnego, że inscenizacji każdego jego nowego utworu ocze-

ci samotnie decydujących sekretarzy jak Lutowskiego Kubica — nielato wyszedł z tej roli obroną ręką Zygmunt Maciejewski — lecz w pierwszych latach po wojnie? Sztuka pogłębia się o historyczną perspektywę całego Dziesięciolecia i ukazuje realny ludzki dramat tamtych lat, rozwiązany silnym światłem, rzuconym na rolę jednostki i masy partyjnej. Teatr powo-

waniem „kreta” pozwala mu przejść, poruszając w nim narodowe sprężyny zamartej psychicznej energii.

Ten dramat śląskiego górnik jest może trochę oderwany od głównego nurtu akcji, trochę doczepiony. Mimo to mógłby on skutecznie neutralizować nieco mdło budujący optymizm zakończenia (łączącego zrealizowaną historię z narodowym). Jeśli niezupełnie się tak stało w przedstawieniu, przyczyna tkwi częściowo w niedostatecznym rysunku samej postaci Sliwy, lecz głównie w tym, że zawiódł jej wykonawca.

Władysław Kaczmarski, aktor typu wyraźnie ekstrawersyjnego, nie zdołał dostatecznie ukształtować wewnętrznie swojej trudnej, na podtekście i przeżyciu opartej roli sceptyka-opozycjonisty, lecz w gruncie rzeczy dobrego człowieka i patriotę. To niepowodzenie znanego aktora zmniejszyło nieco sukces przedstawienia w Teatrze Narodowym.

Była to w całości dobra praca reżysera Józefa Wyszomirskiego, przedstawienie żywe, o dobrym tempie, interesująco rozwiązanych sytuacjach, starannie wybitnej wymowie ideowej.

Głównym rezerem sztuki był Kazimierz Opaliński, znakomity jako stary cieśla kopalniany, Gorzełek. Opaliński stworzył kontrast wobec nerwowości sekretarza partii, ukazał powolnego w ruchach, z gruba ciosanego w mowie, lecz jakże mądrego i śmiałego komunistę z partyjnych szeregow. Wesół, charakterystyczną parę starych Wrzószków odwrócił w powodzeniem Stanisława Perzanowska i Tadeusza Fijewskiego, a kontrastowe postacie młodych górników bardzo prawdziwie Tadeusz Lomnicki (Kotula) i Jerzy Kawka (Basiura). Janusz Bylczyński zrobił wiele, aby nadać żywe, jak najbardziej ludzkie cechy czarnej postaci stłęgacza Gawrycha, dość słabo sformułowanej w sztuce, zwłaszcza w jej stosunku do Laschowej. Tę ostatnią grała Maria Miedzinska, obdarzając ją dwuznacznością wcale dyskretną. Błagiera Łatoszka interesująco podpatrzył z życia Zdzisław Szymański.

Czego w znacznej mierze zabrakło przedstawieniu, to niewątpliwie — klimatu śródwiskowego. I raczej nie była to wina autora: Lutowski, sięgając po „Wzgórze 135” już po raz drugi do tematyki śląskiej, wykażąc w swej najnowszej sztuce bardzo bliski, serdeczny stosunek do środowiska górniczego, umiał też zabarwić dialog zlebką śląską gwara. W przedstawieniu, w którym scenografia Jana Kosińskiego niewiele wyszła poza schłodną rzeczowość, ledwie połowa ról tkwiła w jakiś sposób w śląskim klimacie, może: Kawka, Opaliński, Bylczyński, Miedzinska, Szymański. Z dwóch młodych ról kobiecych wiele — bliższego ludowemu — wdzięku miała Joanna Walterówna jako Urszula, na którą dość nieoczekiwanie przetrząca się sentyment Jasia Kotuli. Natomiast Teresa Anieli Świderskiej, wcale efektowna, była zrazem bardzo „inteligentka” i bardzo mało śląska.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na program teatralny, który dzięki doskonałemu doborowi zdjęć (z prób niekostiumowych) dużo mówi widzem na powadze pracy nad teatralnym spektaklem.



Scena zbiorowa z aktu III

swego „uniku” przez podparcie zakończenia drugim silnym dramatem osobistym, odpowiadającym swą zamierzoną przez autora siłą dramaturgi inżyniera. Jest to dramat górnik Sliwy, który przez okupantów stracił rodzinę, i rozgorzoczone, samotny, nie umie dojrzeć piękna socjalizmu, aż dopiero wstrząs spowodowany katastrofą i zdemasko-

kością naszych dni, zaczął się więc w warszawskich teatrach szturm na tematykę społeczną. Szczególnie w Teatrze Narodowym zaczął się on ambitnie i szczęśliwie. Będziemy pilnie przyglądać się jego przebiegowi na dalszych scenach. Jest to poważny bój. Chodzi w nim o rzecz niebiałą: o wyrażenie w sztuce scenicznej wiel-

W Teatrze Polskim we Wrocławiu — wystawiono Tanię Aleksiego Arbusowa, sztukę z lat przedwojennych, a więc, mierząc czas skalą Melpomeny, sztukę leciwą.

Na imię było jej Tatjana... I cóż? Tatjana — wcale ładnie, Ale w tym dźwięku, każdy przy-

zna,

Odzywa się staroświecczym.

Po tej anonsującej strofie Puszkina (strofa XXIV rozdział 2 Eugeniusza Oniegina) imię Tatjana do czegoś obowiązuje. Do wdzięku, prostoty, zadumy, brzyzo? Arbusow udzielił tych powabów swojej bohaterce. I nawet, tak to się jakoś uklada, w perspektywie dni dziesiętnych wyrastanie owej „miedzywojennej Tani” z kurki domowej, drepczącej uparcie w podwórku swego męża, w świadomą własnej roli kobietę już nam odrobnie zalatuje staroświecczym. Tania jest miła, wzruszająca, rzetelna. Tania jest dzielna. W programie teatralnym (Wiktor Butryczuk) mówi się o niej pompatycznie: „młoda radziecka kobieta która szuka treść, mogących wypełnić jej życie”. Słusznie, ale za urzędowo. Co zaś do wspomnianych jej „kompleksów mieszczańskich moralności” — to można w tym chyba widzieć tylko kompleks autora do wyszukiwania takich kompleksów. Tania, szczerza jak życie, z ogromną szczęścią garnie się do szczęścia w małżeństwie. To je woi-

no w każdym stroju. Gdzie indziej za to umieścimy akcent: Tania po rozwianiu się owego szczęścia, Tania samotna, rozbita, ogłoszona śmiercią maleńkiego synka — nie zalamuje się. Ciosy wykrzesują z niej wolę, opór i siłę. Jej wrodzona zdolność poświęcania się ma teraz szersze zastosowanie w działalności lekarskiej obejmującej całą jeden okręg Syberii. Tu właśnie zastęga stroju radzieckiego.

O Tani Aleksiego Arbusowa trudno nie myśleć przez długi czas po wygaśnięciu rampy. Czy to tak, jak myśli o niej w pierwszym akcie dufny w siebie młody żonkołerman Bałaszow, czy tak, jak myśli o niej w dwóch ostatnich aktach szlachetny skrupulant Aleksy Ignatow. Tania to problem.

I tuż, tuż, niemal obok, bo we wrocławskim Teatrze Kameralnym lekcja... socjologicznego na świat spojrzania: Cienie Sołtykowa - Szczerdina. W nich również młoda kobieta, Zofia Aleksandrowna, szukająca treści mogących wypełnić jej życie”. Zofia Aleksandrowna — cula w draperiach carsko - petersburskiej, wysoko - czynowniczej, „kanali” brylującej splendorem izolowane. Choćby Imiona wroźbne ilukowiczówny i Charaktery Nakowskiej stawały jak najroźniejsze horoskopy pod znakiem „Zofii” — Zofia Aleksandrowna w niwecz obraca tę piękną kabałę. Po tej kapitalistycznej Aspasji, rozigranej w szampańskich bachanalach i nagłe spopielać w małżeńskim skandalu — tęskni się do radzieckiej Tani. Zagadnienie: „kobieta i u stroj” łączy się z obu wzmiankowanymi sztukami jak człowiek z koinem w Centaurze.

Tania w sztuce Arbusowa — to bezustanny ruch uczucia zawsze ku czemuś, co jest słuszne nawet w swoich omyłkach, co wolne i wyzwalające nawet w swych ograniczeniach. Bez wątplenia, w akcie pierwszym Tania, zaprzęgnięta bez reszty ciasnym kramikiem drobnośtek małżeńskich — popelnia omyłkę. Jej optyka życiowa jest fałszywa. Tylko, proszę zważyć, w tej omyłce tkwi złotolita szczerść. W tym fałszu mimo wszystko — prawda. Czujemy i współczujemy z nieopatrzna młodocia, dla której dopiero samo życie stanie się racjonalnym pedagogiem. To jest słuszne, prawdziwe i piękne. Jedynie do przyjęcia dla dramaturga, choćby irytowało pedanta stabilizacji życia w aksjomatach. Gdyby Tania była takim doskonałym aksjomatem, publiczność bardzo by wątpiła w jej doskonałość jako postaci dramatycznej. Na szczęście nie jest. Wciela istotną dialektykę życia jako charakter, który się tworzy przed oczami widzów na scenie, jako osobowość ciągle wibrująca wielością w jedności. Stąd przy całym, jakby się zdawało, braku logiki w odruchach (odejście od męża, zachowanie w sekrecie przed nim swego macierzyństwa) niezwykła logika rozwoju.

Sztuce aktorskiej postawiono dzięki temu „dynamiczne zadanie. Nic tu nie ma gotowego. Wszystko powstaje. Nigdzie wygody, zastój, okazji do odpoczynku we frazie troskliwie modulowanej lub do pawiego roztaczania barw dialogu. Wszędzie nieustępliwa współrzędność słowa i akcji.

W rewolucji, która podobnie jak burza oczyszcza atmosferę i wydziała ozon moralny, następuje zwrot do uczuć zasadniczych i heroicznych. Trudno, żeby przy fanfarach bitewnych wylądować uchem półtonu buduaru. Dialog sztuki rewolucyjnej — to dialog z tym uszytym, co w życiu jest decydujące i zdecydowane. To jednocześnie wyraz kultu wojownika dla domu i rodziny. U Arbusowa w Tani mamy właśnie takie chwilowe odwołanie na bok tarczy wojennej. Dzieja się tu sprawy małżeńskie, o osobiste, rodzinne, wnikają się i znowią rozplątują. Tania, której mały synek umarł, którego nie mogła uratować jej skłapa, przysypiana niepamięcią po dobrociowym przewartowaniu studiów (rzekomo dla dobra

małżeństwa) wiezła lekarska — później po otrzymaniu dyplomu, po hartującej aż do samozaparcia praktyce na Syberii — wyrwała śmierci synka Germana Bałaszowa, który był jej mężem i który związał się z inną kobietą. Tania go zniechęciła tym, co było z jej strony apogeuem poświęcenia: abnegacją własnych celów i własnej samoistności. Nieporozumienie — dotkliwe w skutkach. Lekcja nie bez momentów tragicznych. Pocięcha płynnie stąd, że nieporozumienie konczy się więcej niż zrozumieniem wartości nowej Tani przez Aleksiego Ignatowa. W sztuce Arbusowa lży i humor, a niejednokrotnie patos wspomnień z wojen interwencyjnych, z pierwszych lat rewolucji, są ze sobą zmieszane. To sprawiła, że „tarcza wojownika”, chwilowo odstawiona na bok, raz po raz zadźwięczy rezonansem czasów „burzy i naporu”. Tania Arbusowa, co trzeba zapisać na jej plus, utrzymuje naszą czujność moralną — „w pogotowiu zbrojnym”. Nic tu nie może być darowane, co osądzone jako zło lub słabość.

Gdybyśmy szukali odpowiedniej szufladki — to najwłaściwiej byłoby, zdaje się, umieścić Tanię w rubryce „melodramar”. Nie trzeba się zrażać devaluacją tego gatunku w naszej dzisiejszej opinii. Pamiętajmy, że jego żarliwym poplecznikiem był sam Diderot, „ani cziek płochy, ani małka głowa”. Leo Clarette nie waha się awansować go nawet na „apostola” melodramatu: „Diderot był apostołem komedii poważnej, ugruntywał jej teorię na różnych przykładach z Aischylosa, Terencjusza, Shakespeare’a, Woltera, Landoisa, pani de Graffigny, Eddy, Moore’a i Lessinga”. (Histoire de la littérature française, t. III). Wielki odnowiciel, jeden z katalizatorów rewolucji 1789 r., mniemam, że „komedia poważna” przewracając do góry nogami skostniały porządek gatunków literackich uczy z pożytkiem sceptycyzmu wobec trwałości innych... gatunków skostnienia.

Zdaje się, że to samo pociągało Woltera, który obok Aischylosa znalazł się u Diderota w pocście antenatów „komedii poważnej”. Swoim zwyciężem patriarcha z Ferny przyprawił rzecz drwiną zwróconą ostrzem w wypróbowaną klasyfikację i hierarchię „rodzajów”. Według niego w zetknięciu z życiem ta „konstrukcja ludu” rozpadła się, jak domek z kart: „Życie ludzi, dowodził, jest pstrąk mieszaniną. W każdym wydarzeniu ileż kontrastów! Pod jednym dachem: ojciec kłnie, córka oddana swej namiętności płacze, syn kpi z obojga, a krewni robią obojętne miny”. Ten chwalebny miernik konfrontacji z życiem i rozszkiełceń czekał na zastosowanie gdzie indziej nie tylko w „komedii poważnej”. Wolter przekornie rozdrownował zawieszł go nad głowami współczesnych niby miecz Damoklesa. Melodramat był zwiastunem przewrotu.

Tania przy takiej paranteli wydatnie pogłębia swój „charakter dziejowy”. Odziedziczyła szlachetne cechy po protoplastach: realizm, śmiałość kontrastów, dynamikę wzruszeń. Wraca do uczuć zasadniczych i heroicznych, jak ojarność, altruizm, odwaga, wierność. Nie lęka się sytuacji „ławowych”, które rozładują humorem. Ze zwiastuną wyrosła już jednak na realizatora nowego stanu rzeczy. Jej klimat jest osobliwy: wysokogórski, udrzwajający.

Zrozumiałe, że gatunek teatralny o tak zmiennej skali efektów wymaga od reżysera mocnej ręki, a od aktorów zdyscyplinowania. W ogóle Arbusow postawił wykonawców wobec podniecających postulatów. W Tani: subtelna kreskówka psychologiczna, w innych postaciach: rysunek grubymi, wyrazistymi liniami, wreszcie w migawkach masowych: celność w ustawieniu obiektywu.

Teraz weźmy pod światło wykonanie Tani w Teatrze Polskim. Bohaterka tytułowa w interpretacji Marii Zbyszewskiej — Benoît spełniła rzetelnie warunki dialektyki: postała w ruchu, w powiązaniu ze środowiskiem, w jednolitym rozwoju przez przeciwieństwa, przy czym zmiany ilościowe (seria niepomysłnych wydarzeń) wywołały u niej zmiany jakościowe (nowy stosunek do siebie i do otoczenia). Nie była to mechaniczna precyzja, wytwór automatycznej sprawności. Wtedy, formalnie biorąc, trzeba byłoby również stwierdzić dobrą klasę aktorską. Nie! To było przeżywanie. Zapomniał się nawet o scenie. Ktoś tam z samego życia, z jego bolesnych rozpadów. Magma jeszcze gorąca — nie słowa. Zastępnym w niej na żywo odcinki wzruszeń, refleksji i wrażeń. Gdy na przykład Tania zdruzgotana myślą o nadchodzącej śmierci synka rozpaczywie szuka ratunku w okrucach swej wiedzy lekarskiej, gdy chce ją dokompletować notatkami i podręcznikami, a wszystko to jest daremne, gdy jej doznania, myśli i uczucia znalazły się na styce między pełną świadomością i świadomością zamioną obłędem, wtedy dla Tani przestaje istnieć ktoś, kto gra Tanię. Zachodzi coś tak oczywistego, że pośrednictwo aktora wydaje się niedorzecznością. Po prostu aparat świadomości nie notuje go. W historii teatru wrocławskiego jedna z lepszych kreacji.

Ludwik Benoît w roli Aleksiego Ignatowa musiał, niestety, stęszczać się, gdyż... występował tylko w dwóch ostatnich aktach. Można o nim powiedzieć, że była to „metoda przeżywania” w dużej kondensacji. Znakomicie wypunktowane

paury, intonacje, spadki i zwyżki głosowe. Wypielęgnowana w szczegółach oporność natury gźłobkiej, nieufnej wobec szeroki wylewów werbalnych. Rozmowa Aleksiego Ignatowa z Tanią, przypadkowo spotkana w zawianej śniegów spodzię syberyjskiej, była prowadzona mistrzowsko. Czulo się w tym dialogu niebezpiecznie „poła minowe” gotowe wybuchać, lecz nie wzbuchające wskutek delikatnej interpretacji. Ta szczerść bez jaskrawości to był aktorski pokaz dobrze opanowanej „metody przeżywania”.

Reżyser, Szymon Szurmiej, umiał rachunek różniczkowy (Tania i Aleksy Ignatow) przetasać... czterema działaniami sztuki aktorskiej: z działaniem kontrastów, z działaniem zespolowości, z działaniem tempa i z działaniem charakterystyczności.

Tadeusz Schmidt w roli Germana Bałaszowa, Zofia Komorowska jako Maria Szymanowa, Jadwiga Gibczyńska jako Dusja — w reżyserskim rozplanowaniu figur scenicznych byli odsunęci w stosunku do Tani i Aleksiego Ignatowa nieco w głąb i niejako pzez kontrast ukazani syntetycznie. Główne rysy (wygórowana ambicja i pewna oschłość Bałaszowa, pasja wewnętrzna i władcy nad Szymanową, impet radosny i ochoczość życiowa Dusji) uwydatniono lapidarnie w sytuacjach i dialogach, chociaż nastęrczwała się nieraz posuka zmanewrowania w „malowniczość” czy „charakterystyczność”. Zwyciężył rygor wprawnego konstruktora Szymon Szurmiej należy do reżyserów, którzy z należytym respektiem odnoszą się do wymagań perspektywy scenicznej. Nie zamazuje „obrazu” — „świątecznymi epizodami”.

Tanię ujął trzyplanowo. Trzeci plan — to królestwo oszczędnej charakterystyczności (po analizie psychologicznej i kontrastującej z nią syntezie, o czym wyżej). To — młody, obiecujący, zabawny w swoim bezradnym rozstargnieniu inżynier Andrzej Gisczenko (tmistaw Jasiukiewicz), to łowca sensacyjny jak żywicowiec, gaduła Wasin (Tadeusz Kalinowski). To — na koniec komplet amatorów inscenizujących w kopalni „Róża” — burzliwe chwile początków rewolucji.

Wrocławskie przedstawienie Tani miało tempo umiejętnie regulowane i czulo się w nim dyscypline nie zespolow! A to są bezzwonne zastęgi reżysera.

Dekoracje Andrzeja Jędrzejewskiego (na przykład sugestywny kominiec z płonącymi szczapami w syberyjskiej siedzibie Aleksiego Ignatowa, melancholijna szaryzna schroniska) uosposobiły do oklasków.

Dobre przedstawienie. I ta dobroć człowieka w sztuce Arbusowa. Ta mądrość spojrzenia na ludzką rzecz samą w sobie. Położmy w zakończeniu sentencję z Lisa — Przechery Goethego:

Tak, jak złoto, mądrość też wtedy dopiero jest cnotą, jeśli narzędziem jest szlachetny natur.

Na tym się kończy ta pieśń. Imprimatur.

O WOLNOŚCI I ODPOWIEDZIALNOŚCI SZTUKI TEATRALNEJ

Pisze o tym w nr 1 „Soviet-skiej Kultury” narodowy artysta ZSRR, M. Czerkasow w artykule pt. „Pełnia twórczej odpowiedzialności”. „W ostatnim czasie — stwierdza Czerkasow — wiele teatrów uzyskało więcej niezależności w wyborze repertuaru, więcej samodzielności w szukaniu własnego artystycznego kierunku. Lecz zdobywanie nowych dróg to nie tylko prawo, lecz prosty obowiązek każdego artysty, który chce iść naprzód i odpowiedzieć potrzebom widza”. Czerkasow domaga się szerokiej skali rodzajów i form w dramaturgii, lecz żąda w każdym z nich ideowego i artystycznego maksymalizmu. Podobnie w pracy teatrów. „Każdy kolektyw ma prawo iść własną drogą. Każdy reżyser i każdy aktor ma prawo do własnego słowa w sztuce”. Pod dwoma jednak warunkami: najlepszego i pełnego wyrażenia treści utworu oraz utrzymania wzajemnego wewnętrznego związku w pracy wszystkich członów kolektywu. Na przykładzie groteski rozrózła Czerkasow zabieg artystyczny celowy, służący wyrażeniu sprawy sztuki od zewnętrzności, zdobniczego efektu, zwłaszcza nieuzasadnionego, czy tym bardziej niezrozumiałego. Prawda życia pozostaje ostatecznym celem, choć nadmierna detalizacja codziennych faktów i zjawisk sama z siebie nie doprowadzi do poetyckiego uogólnienia ani prawdziwego realizmu. Prócz wiedzy o rzeczywistości trzeba tu jeszcze silnej twórczej fantazji.

NAD TEKAMI LEONA WYCZÓLKOWSKIEGO

KATOLICKIE
nowości wydawnicze
we Francji



Leon Wyczółkowski — Ratusz w Sandomierzu

DROGA rozwoju artystycznego Wyczółkowskiego, długa i mozolna, polega na ciągłym doskonaleniu rzemiosła, na bezustannym odkrywaniu tajemnicy światła i cienia, oraz na znużającym poszukiwaniu odpowiednich środków wyrazu. Mistrz nie zasklepił się w swojej twórczości w jednym rodzaju malarstwa, czy w jednej technice. To, co wyszło spod jego pędzla posiada zdumiewającą różnorodność tematyczną. Są tam obrazy o treści historycznej, takie jak „Ucieczka Maryny Mniszchówny”, malowane pod wpływem studiów w Jana Matejki, dzieła rodzajowe, wspaniałe, drgające światłem „Orki”, „Polowy”, romantyczna poezja przesycona „Smiercią Aliny”, mistrzowskie portrety, czarujące kwiaty, oraz „Żywe kamienie”, kapitalne rysunki starożytnych, odwiecznych ulic i zaułków Krakowa, Sandomierza i Lublina. Wszystko, do czego się tylko wzięło, stało się pod jego ręką wzięciem niezwykle plastycznym, urzekającą wyjątkową prawdą i życiem, życiem pulsującym w każdym najmniejszym szczególe, w migawkowym szkicu, w najprostszym motywie. I czy to będą rozłożyste dęby w Rogalinie, sosny o zachodzie słońca, krzywe domy Starego Miasta, czy baszty Wawelu, kaplice i skarbowe, każdy z tych obrazów jest już sam w sobie zamkniętym, skończonym dziełem.

Po studiach w Wojciecha Gersona, w Monachium i w Jana Matejki, Leon Wyczółkowski zdaje sobie sprawę z tego, że jest daleki od celu. Poszukując własnej drogi, wpada z jednej skrajności w drugą, aż wreszcie wyjeżdża na daleką Ukrainę; by zdala od gwaru wielkich miast, zdala od modnych kierunków, jątowych sporów i ciągłego dreptania w miejscu, zabrać się do

pracy nad sobą, do zgłębienia tajemnic malarstwa. Po latach walki zdobywa to, czego pragnął; znajduje własną drogę. Tutaj odkrywa słońce. Obrazy jego grają oslepiającym światłem, stają się jasne, przejrzyste, pełno w nich powietrza, przestrzeni. Powierzchnia płócien polskuje gorącą, najczystsza emalia kolorów, złoto miesza się z purpurą jesiennych zachodów, błękit pogodnego nieba łączy się z zieleńią szerokich, okiem nieobjętych pól, z barwą wędgnącej kartoflińskiej. Spod pędzla artysty wychodzą takie obrazy, jak „Orka”, „Kupa”, „Kopanie buraków”, oraz wiele innych prac o trwałej wartości.

Walka Leona Wyczółkowskiego o zdobycie własnej drogi, o nowy sens sztuki przypomniała borykanie się Van Gogha, który w podobny zresztą sposób odnalazł „ścieżkę”. Obaj też żyjąc, jak prawdziwi pustelnicy odkryli słońce, zrozumeli znaczenie koloru i jego natężenia, stali się czcicielami światła.

Wyczółkowski był zaciekłym realistą. Przez całe życie szukał prawdy, której nigdy się nie sprzenie-wierzył. Podpatrując naturę chciał malować tak, jak ją widział, oddając nie tylko kształt zewnętrzny przedmiotów, ich kształt i barwę, ale i wrażenie, jakie odczuwał, patrząc na zachodzące nad niemie-zonymi polami Ukrainy, słońce, ale nigdy w tym, co stworzył nie było śladkiem czułości, lub przesady. Nie ma też w jego pracach owych efektownych plam i kleksów, jakimi posługują się dekoratorzy, lecz wprost przeciwnie, każde z szerokich pociągnięć pędzla w kształcie i barwie jest jego osobistą zdobyczą, wynalezioną w danej chwili dla wyrażenia danego efektu. Ogromne wyrobienie malarskie oka pozwoliła

mu dostrzegać rzeczy od strony czysto malarskiej, co znów sprząda za sobą swobodę daleko idących uogólnień.

Jeden z przyjaciół Wyczółkowskiego zastanawiając się nad twórczością wielkiego artysty, stwierdza: „Wyczółkowski w ciągu swojej prawie 70 letniej działalności wykonał pracę za pół pokolenia artystów: opisał tuszem, orysował ołówkiem i kredką lub pastelem, „obmalował” całą Polskę, jak długi i szeroki od wschodu do ziem zachodnich Wielkopolski, od Tatr do Pomorza. W swych tekach graficznych przedstawił: zakłete w kształt artystycznej uspaniałosi i piękno warszawskiej i Krakowa, Sandomierza, Poznania, Lublina, Gdańska, Chelma, Gniezna i Torunia. Przekazał setki typów ludowych ze wszystkich dzielnic Polski. W setkach portretów zostawił potomności rysy najwybitniejszych ludzi w ojczyźnie. Pokazał piękno krajobrazu”. A przede wszystkim rozłożył przed naszymi oczyma urok czarodziejskich barw, barw, jakimi grają polskie pola, góry, łąki i stare, odwieczne puszcze.

Nie będzie to jednak przesada, gdy stwierdzimy, że wielkość Leona Wyczółkowskiego tkwi przede wszystkim w grafice, gdzie talent jego wypowiedział się najlepiej, najpełniej i najdoskonalej.

Z niezrównanym mistrzostwem opamulał wszystkie rodzaje techniki graficznej, od litografii, akwaforty, do miedziorytu i fluoroorytu. Zdumiewająco efekty, jakie potrafił wy dobyć za pomocą prostych, wręcz prymitywnych środków, postugując się ołówkiem, tuszem lub kredką. Linia jego planu jest nadzwyczaj subtelna, niemal pajęczna, ale tam, gdzie chodzi o wydołoczenie siły, potęgi staje się mocna, śmiała. Artysta dąży zawsze do skrótów, do

najdalej posuniętego uogólnienia, do syntezy. Nie znosi naturalistycznej drobiazgowości, spychając ją do roli złej fotografii. Tematem prac granicznych Wyczółkowskiego były przede wszystkim „stare kamienie”, architektura naszych miast i miasteczek, mury pokryte patyną wieków, oraz drzewa, sławne drzewa Białowieży, potężne sosny i dęby naszych puszczy i Rogalin. Pod ręką mistrza zapomniane, koszlawe uliczki Lublina, czy Kazimierza nad Wisłą nabierają rumieńców życia, drzewa czarują pięknem uspaniałosi, rozłożystych koron, fantastyczną plataniną gałęzi, a biel i czerń zamienia się w pachnącą miękkość kwitnących sadów, w srebrzysty blask księżycy, w potęgę prastarych basz i kaszeli.

Wyczółkowski należy do tego rodzaju twórców, o których można powiedzieć, że dzieła ich stały się własnością całego narodu. Zawędrowały w postaci licznych reprodukcji w teren, by rozjaśnić swoim pięknem i wyjątkowym czałem wnętrza skromnych mieszkań, wnętrza szkół i świetlic. A do tego szeroko pojętego upowszechnienia spuścizny artystycznej Leona Wyczółkowskiego przyczyniła się wydawnictwa już zrealizowane, czy też dopiero zamierzone przez Centralę Przemysłu Ludowego i Artystycznego.

Toteż z prawdziwą radością ogłada się dwie „Teki”, zawierające reprodukcje 20 dzieł granicznych Leona Wyczółkowskiego, wydane przez CPLA, w setną rocznicę urodzin artysty. Wśród obrazów zebranych w tych tekach na szczególną wagę zasługują kilka prac o wyjątkowej wartości. Do nich należy „Autoportret” mistrza z 1927 r. rysowany tuszem na kartonie, kapitalny w wyrazie i znakomity technicznie, podobnie zresztą, jak i „Drzewa oświetlone zachodzącym słońcem”, pełne światła, ciepła i uroku zbliżającego się zmierzchu. Czystością i przejrzystością koloru gra akwarela przedstawiająca „Wi-

piękniejszych zabytków architektury polskiej (Kosciół św. Jana w Toruniu, Fara w Chelmie, Samonierz) są dowodem, że L. Wyczółkowski miał nie tylko wielki talent, ale i niezwykłą, wręcz niewiarygodną znajomość tajemnic swojego rzemiosła. W takim np. obrazie jak „Kaplica Zyguntowska na wawelu”, artysta świetnie potoczył rysunek z kredą litograficzną i temperą, uzyskując z rezultacie rzadki efekt.

Ale już chyba najlepiej prezentują się w „Tekach” autolitografie. Są to sławne drzewa L. Wyczółkowskiego: „Dęby w Białowieży”, „Jabłonie kwitnące w Gościeradzu”, „Świerki” i znakomity „Szon”. Za pomocą czarno białej plamy, czy kreski mistrz wydobyczał całą poezję, czar i rzadki urok olbrzymich, chropowatych pni, splecionych gałęzi i potężnych konarów. W autolitografiach tych zamknął się chyba najlepiej i najdoskonalej bujny temperament malarza, jego talent, który z tak niezrównaną subtelnością i precyzją utrwalił na kartonie urodę stuletnich drzew i piękno starych kamieni.

Nie wszystkie jednak dzieła udało się dobrze odbić, powielić. Wśród 20 plansz są bowiem i takie, które straciły sporo ze swoich walorów w reprodukcji (Świerki rys. tuszem i kredą z 1921 r., „Ratusz w Toruniu” rys. w 1931 r., oraz „Dąb Koronowski”, rys. na kredowym kartonie w 1934 r.). Najlepiej wyszły te obrazy, w których twórca wprowadził ciepły ton. Kartony te odznaczają się miękkością i delikatnością rysunku i szlachetnością barwy. Można to np. stwierdzić w „Kaplicy Zyguntowskiej”, utrzymanej w kremowo złotym tonie.

Reprodukowane w „Tekach” dzieła pochodzą przeważnie z zbiorów Muzeum im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy, inne: „Martwa natura z karafką” i „Szymon Tatar” — z gabinetu rycin przy Uniwersyte-



Leon Wyczółkowski — Dęby koronowskie

cie. Warszaskim; reszta zaś z Muzeum Czapskich w Krakowie („Szon”).

Na ogół jednak reprodukcje znajdujące się w „Tekach” są b. starannie wykonane, tak, że sprawiają wrażenie oryginału. Mogą więc stać się zdobątkiem każdego wnętrza, wzbijając tandetne kicz i landszajty.

„Wspaniałe, pełne żywotowego rozmachu i charakteru rysunki naj-

dotk Torunia” od strony Wisły, przypominając najlepsze dzieła sztuki japońskiej, którą artysta znał i podziwiał.

Wspaniałe, pełne żywotowego rozmachu i charakteru rysunki naj-

dotk Torunia” od strony Wisły, przypominając najlepsze dzieła sztuki japońskiej, którą artysta znał i podziwiał.

TEOLOGIA

M. M. LABOURDETTE, „Greczkie pierwotory i pochodzenie człowieka”, (Le peche original et les origines de l'homme), Paryż, Aisatia, s. 250.

Dzieło to jest wypracowaną i dokładną syntezą dysputy teologicznej, która z niezwykłym ozwojeniem toczyła się we Francji między rokiem 1949 a 1957. Książkę opracował jeden z uczestników dysputy. To naukowo i dokumentownie praca stara się dokładnie uwioczyć różnicę jaka zachodzi między metodą poznania używanymi w teologii a tymi jakich używa się w innych naukach. Daje ona także jasny i precyzyjny wykład podstawowych zasad wiary.

EMIL RIDAU: „Obecnosc w Bogu, obecność w świecie”, (Présence à Dieu, présence au monde), Paryż, Ed. Ouyvrières, s. 234.

„Jako wskazuje podtytuł książki — chodzi tu o „rozważania apostołskie”. Jest to zbiór artykułów, często anonimowych, które w większej części już publikowane w pismach periodycznych. Książka ta jest bardzo cenna, jej zasadniczą bowiem myślą jest podwójna wierność — Bogu i człowiekowi.

RENE DURAND: „Z Matką Zbawiciela”, („Avec la Mere du Seigneur”), Lyon, Ed. du Chaiet, s. 150.

Niewielka ta książka ukazuje się na początku Roku Maryjnego, zawierając teologiczny wykład roli, jaką sprawuje w Kościele Najświętsza Maryja Panna.

FILOZOFIA

JACQUES MARITAIN: „Zbliżanie się do Boga”, („Approches de Dieu”), Paryż, Aisatia, s. 136.

Bardzo przychylnie przyjęto we Francji ów tomik z cyklu „Madróść i kultura”. Autor z właściwym sobie mistrzostwem z wielką ścisłością filozoficzną mówi o drogach prowadzących nas do Boga.

LITURGIA

A. CROEGAERT: „Komentarz liturgiczny do katechizmu”, („Commentaire liturgique de l'enseignement”, (Belgique, Canada, France, Suisse) Ed. Dessain, Malines, t. I, s. 888.

Autor, znany już ze swych dzieł z zakresu pedagogiki liturgicznej, chce tym wszystkim, którzy odpowiedzialni są za nauczanie katechizmu, dać tutaj „dokumentację metodyczną”, która pozwoli im wprowadzić, wyjaśnić i ożywić w dziełach „techetyczną”. Rozumiejąc trudność, na jakie napotyka tutaj większość nauczycieli, autor tego dzieła stara się być abstrakcyjnie często pojmowaną naukę katechizmu uczynić bardziej konkretną.

SZTUKA RELIGIJNA

DANIEL-ROPS: „Życie Chrystusa w architekturze malarstwa”, („La vie de Christ dans les chefs d'œuvre de la peinture”), Ed. Fernand Nathan.

Poprzedzony czterostopniową przedmową Daniel-Ropsa, album zawiera ciekawy wybór biało-czarnych reprodukcji najlepszych obrazów i mozaik przedstawiających sceny z życia Chrystusa. Należy tylko zażądać, że układając obrazy wydawca nie trzymał się porządku chronologicznego, zarówno jeśli chodzi o historię malarstwa jak i o Ewangelię.

JÓZEF PICHAUD: „Nowoczesna sztuka religijna”, („Art sacre moderne”, 150 stron tekstu, 80 stron reprodukcji, Ed. Arthaud, Paryż.

Książka ta nie jest ani c.elem doktrynarym ani polemicznym, chcącoby się raczej powiedzieć: historycznym. Skąd się wywodzi współczesna sztuka religijna? Ku czemu zmierza? Czego poszukuje? Zamiasł formułować tezy, autor stara się raczej przedstawiać fakty. A fakty te popiera bogatym i różnorodnym doбором ilustracji. Malarstwo, rzeźba, architektura, witraż — jest to prawdziwe „muzeum” nowoczesnej sztuki religijnej. Niekiedy może ten wybór zakwestionować, ale należy jednak zapamiętać, że — jeśli chodzi o dzieła współczesne — ryzyko wyboru jest duże, trudno bowiem ocenić dzieło sztuki, które nie przeszło jeszcze próby czasu.

HAITI' DO BOIS NA SCENIE MOSKIEWSKIEJ

Sztuka tego głośnego amerykańskiego naukowca i artysty, laureata międzynarodowej nagrody pokojowej z r. 1953, wystawiona została przez moskiewski Teatr Dramatu i Komedii. Sztuka, ukazująca inwazję napoleońską na Haiti i ludowy murzyski ruch oporu pod dowództwem Toussainta L'Ouverture (miał to grać Paul Robesson) nie była dotąd grana w Ameryce, w Anglii wystawił ją londyński Unity Theatre.

KOSZTEM NIEMODLINA I GARWOLINA

— pod tym tytułem powstaje „Przełąd Kulturowy” (nr 1) ważny problem planu objazdowego teatrów. Wskazując na przykład przedstawień teatru gnieźnieńskiego w Łodzi i teatr warszawskiego Teatru Polskiego w Londynie (między innymi poludniowej Polski) objętych zasięgiem miejscowych teatrów), pismo wola o „uporządkowanie dystrybucji teatralnej”.

FARYSKI TEATR „NOCTAMBULES”

gra ostatnio wesołą komedię antymlitarystyczną P. A. Breila pt. „Huzarzy”, której akcja dzieje się podczas kampanii lombardzkiej Napoleona. Reżyser świętego przedstawienia, laureat konkursu młodych zespołów, Jacques Fabry, gra równocześnie rolę zoir „a Bretonczyka, tworząc z jeszcze świetniejszym aktorsko Sabaudzkiem „des Grello znakomity komediowy duet.

GŁOSNY DRAMAT KUO-MO-ZO O CZU YANIE

stynnym poecie i dyplomacie chińskim sprzed 2200 lat, doczekał się przekładu francuskiego C. Picarda, oparte go nie na wydaniu oryginalnym z 1942, lecz na nowej wersji sceniczej wg przedstawienia pekińskiego z ubiegłego roku. Fragment dramatu drukują w nr 496 poświęconym w całości Chinom, „Lettres Françaises”.

KILKA SŁÓW

o architekturze

CORBUSIER BUDUJE KAPLICĘ KU CZCI MATKI BOSKIEJ

W przypadającym obecnie Roku Maryjnym we Francji, w mieście Ronchamp, leżącym na pograniczu trzech dzielnic: Alzacji, Lotaryngii i Franche-Comté, powstanie nowa kaplica ku czci Najświętszej Marii Panny. Diecezjalna komisja sztuki w Besançon wahała się w jakim stylu ma być wybudowana ta kaplica — zdecydowano wreszcie, że będzie to na wskroś nowoczesny kościół i budowę jego powierzono słynnemu architektowi Le Corbusier. Po raz pierwszy ten wielki twórca architektury funkcjonalnej zajmuje się budownictwem sakralnym. Przedstawiona przez niego i zatwierdzona już przez władze kościelne makietka, jest bardzo interesująca, jakkolwiek dla nas, przyzwyczajonych raczej do tradycyjnych wzorów sztuki kościelnej, wydaje się nieco dziwaczna. Niewielki ten kościół ma obszerny portyk, który pozwala na odprawianie nabożeństw na zewnątrz w razie większego napływu wiernych.

w Polsce, zaś czwartą istniejącą w Europie budowlą tego rodzaju.

ODBUWANA ZABYTKÓW NA OPOLSZCZYZNIE

Pomimo okresu zimowego prace przy odbudowie zabytków architektury na Opoliszczynie prowadzone są w niestannym tempie. Największe roboty prowadzone są przy odbudowie całego kompleksu architektonicznego XVII i XVIII wiekowych kamieniczek mieszczczyńskich na Ryńku w Opolu.

W Nysie kontynuuje się odbudowę XIV-wiecznej katedry gotyckiej, a ostatnio przystąpiono tam również do odbudowy zabytkowych barokowych kamieniczek.

W Raciborzu szybko wyrasta z gruzów śródmiasteczka w stylu renesansowym. Również w wielu innych miastach i miasteczkach Opolszczyzny odbudowa zabytków architektonicznych, dzięki kredytom przyznawanym na ten cel przez państwo szвидко postępuje naprzód.

BUDOWA KOPUŁY „ROTUNDY”

na placu Malachowskiego, która co do wielkości jest pierwszą w Polsce, a trzecią w Europie została już zakończona. Olbrzymi dach otrzymał całkowicie pokrycie z miedzianej blachy. Ponad kopułę wystrzela w niebo czeropiętrowa gloria. — efektywne zakończenie budowli. Budowla ta zostanie przekazana Warszawie jako wielka sala koncertowa.

W tym celu w Warszawie utworzono Towarzystwo „Mazowsza”, w wykonaniu chóru Robotniczego Towarzystwa Muzycznego (Workers Music Association). Tym razem, „Kukuleczka” śpiewana po angielsku brzmi z kolei nieco egzotycznie dla słuchacza polskiego. Wzorowo wykonanie melodii nie spiewają jednak zawodu tym, którzy je znają w wersji oryginalnej.

Na odwrót jednej z płyt z piosenką „Mazowsza” znajduje się znana pieśń masowa Gradsztajna „Na prawo most — na lewo most”. Towarzystwo Przyjaźni Brytyjsko-Polskiej zaprezentowało tę pieśń po raz pierwszy angielskiej publiczności na koncercie w Whitehall Theatre, gdzie chórem Robotniczego Towarzystwa Muzycznego dyrygował Alan Bush, który adaptował tę piosenkę na język angielski. Po dwukrotnym wykonaniu „na bis”, śpiewali ją cały teatr, potem — jak to zwykle bywa — piosenka „wyszła na ulicę”, podbiła serca flegmatycznych synów Albionu i doczekała się nagrania na płytę.

„DONJA JUANITA” WZNOWIONA

W teatrze muzycznym „Lutnia” w Łodzi, grana jest z ogromnym powodzeniem przy szczerze zapałającej widowni operetka Suppegno: „Donja Juanita”. Wznawiona w Polsce po kilkudziesięciu latach i wskutek tego u nas prawie nieznana, opiewa ona walkę ludu hiszpańskiego z uciskiem feudalnym i brytyjskim imperializmem. Mocne akcenty społeczne i walory polityczne operetki były przyczyną, że przez długie lata była pozycją omiianą w repertuarze naszych scen. „Donja Juanita” wystawiono w opracowaniu i adaptacji Jerzego Merunowicza i Klementa Białka, w reżyserii Jerzego Merunowicza.

WYJAZD KOMPOZYTORÓW POLSKICH DO ZSSR

Do ZSSR wyjechali dwaj znani kompozytorzy polscy, Kazimierz Serocki i Witold Rudziński. W czasie pobytu w ZSSR zapoznają się oni z radziecką twórczością muzyczną.

ZBIÓR PIĘŚNI KOMPOZYTORÓW POLSKICH WYDANY W ZSSR

Państwowe Wydawnictwo Muzyczne w Moskwie wydało zbiór pieśni kompozytorów polskich, przeznaczony dla soliistów chóru z towarzyszeniem fortepianu. Zbiór ten obejmuje 11 pieśni kompozytorów: T. Sygietyńskiego, E. Olearczyka, A. Gradsztajna, W. Lutosławskiego i P. Perkowski, wiodącego do słów K. Gruszczyńskiego, S. Wygodzkiego, E. Fiszer i innych poetów polskich.

WYSTAWA MALARSTWA FLAMANDZKIEGO W LONDYNIE

Największym wydarzeniem tegorocznego sezonu artystycznego w Londynie, stało się otwarcie w Royal Academy wielkiej wystawy malarstwa flamandzkiego z XV i XVII wieku. Na ścianach sali w Burlington House zawieszono 470 wspaniałych wczesnonienawstowskich polichromnych płócien. Uwagę budzą przede wszystkim 92 obrazy pędzla Van Dycka — ulubionego malarza Anglików. Długie lata przebywał on w Wielkiej Brytanii i wywarł duży wpływ na angielską szkołę malarską. Na wystawie pokazano także 50 płócien Rubensa i wiele innych cudownych dzieł holenderskich malarzów.

RADIOWY „TEATR WYOBRAZNI”

pozbawiony jest całego szeregu środków ekspresji, właściwych „prawdziwemu” teatrowi. Prowadzić to może do nieporozumień u słuchacza, nie widzącego akcji na scenie, wieku postaci grającej, ekspresji mimicznej towarzyszącej słowom itd. Pisząc o tym w nr 1 „Przełąd Kulturowy” w związku z krakowską wersją radiową „Szczygłego zaułka” Shawa, T. Kołaczowski słusznie konkluduje: „Aby zradiofonizowana sztuka mogła dotrzeć do słuchacza niezakłócona i stać się mu bodźcem do formowania prawidłowych wyobrażeń, musi działać jednym swoim środkiem wyrazowym z niezwykłą precyzją. A szczególnie bezbłędny musi być głos aktora, na nim bowiem buduje się wyobrażenie o charakterze postaci, jej wieku, namiętności, urodzie”.

„RYBY GŁOSU NIE MAJĄ”

— taki tytuł nosi komedia obyczajowo-artystyczna Ewy Otwinowskiej i Wincentego Stopkwole, nagrodzona II nagrodą w konkursie utworów w dziedzinie sztuki literackiej. Wspaniała fantazja artysty stworzyła fikcyjną architekturę Troi oraz sylwetki ludzi, na twarzach których malują się precyzja i wrażenia. Arcydzieło Colomba groziło wywiezieniem do Ameryki, ponieważ największą sumę zaproponował milioner amerykański, jednakże Jean Porches, konserwator Bibliotheque Nationale poprosił o prawo do pierwokupu, na które wśród oklasków mu przyszedł. Bezczenny rękopis pozostał we Francji.

O SZCZAWNICZKIM „JANOSIKU”

dowiadujemy się z tygodnika „Wies” (nr 51—52 i nr 1). Amatorską sztukę pt.: „Janosik — hetman zbrojniczy” napisał ok. r. 1930 chłop-samouk Michał Słowik,

KONCERTY KOŁĘD W KATEDRZE WROCŁAWSKIEJ

Koncerty muzyki religijnej w Katedrze Wrocławskiej mają już ustaloną tradycję i cieszą się wielką popularnością wśród wiernych. Obecnie, w okresie świąt Bożego Narodzenia, odbywają się one w niedzielę „Koncerty Kołed”. I tak np. w niedzielę, dn. 3 stycznia chłopięco-męski chór katedralny wykonał „Koncerty Kołed”. Koncert poprzedzono krótką prelekcją.

POLSKA PIOSENKA PODBIJA ŚWIAT

Bogaty skarb ludowej kultury polskiej przetrwał bez zamknięcia na dziedzińcu spławów lamusem. Wydobyte z zapomnienia i po mistrzowsku opracowane ludowe piosenki w wykonaniu chóru „Mazowsza”, należą już dziś do najbardziej znanych melodii. Ich urzekające piękno kryje w sobie dla cudzoziemców